SAMOLOTEM NAD POLSKĄ

MOIM KOCHANYM

MŁODYM PRZYJACIOŁOM

POŚWIĘCAM.

ALEKSANDER JANOWSKI

SAMOLOTEM NAD POLSKĄ

PRZYGODY LORDA RALFA

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

Z 25 RYCINAMI WACŁAWA LIPIŃSKIEGO

1921

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

POZNAŃ ═══ ŁÓDŹ ═══ LUBLIN

WILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.

LWÓW, KSIĘGARNIA NAUK. (POL. TOW. PEDAGOG. i M. ARCT).

Printed in Poland

TEGOŻ AUTORA KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Duch Warszawy. Z ryc. Wyd. II.
Jędrek Mędrek w Honolulu. Z ryc.
Kochaj Kościuszkę! Wyd. II.
Kto ty jesteś?
Pogadanki krajoznawcze. Z ryc. Wyd. III.
Nasz plac. Z ryc. Wyd. II.
Samolotem nad Polską. Z ryc.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 41.

1. OJCIEC LORDA RALFA.

Lord Castelbury miał matkę Polkę. Ojciec jego, sir Henry Castelbury of Avon and Hampshire, słynął jako najdzielniejszy sportowiec w Oxfordzie: wygrywał wszystkie matche, a szczytem jego powodzenia były wygrane regaty, gdzie walczyła o palmę pierwszeństwa młodzież uniwersytetów Cambridge i Oxford.

Sir Henry sterował łodzią oksfordzką i doprowadził ją do mety o $1^1/_2$ sekundy wcześniej od współzawodników. Grzmot oklasków uczcił to sławne zwycięstwo, a przy dźwięku fanfary lord Henryk otrzymał zieloną haftowaną szarfę zwycięstwa od najpiękniejszej z delegacji dam.

W dziesięć minut później mówił bohater do swego przyjaciela, lorda Randolfa Blackberry:

— Załóż się ze mną, mój przyjacielu, że za miesiąc odbędzie się mój ślub.

— Henryku, triumf zwycięstwa odebrał ci przytomność. Wszak nigdy nie myślałeś o małżeństwie?

— Owszem, myślę o tem oddawna.

— Od jak dawna, naprzykład?

— Od dziesięciu minut.

— Przyjdź do przytomności. Któż to będzie nosił nazwisko lady Castelbury?

— Najcudniejsza kobieta na świecie.

— Ale kto to taki, jak się nazywa?

— Nie wiem.

— No, zawsze byłeś dziwakiem, ale to już zbyt wielkie jakieś dziwactwo.

— Żadnego dziwactwa w tem niema. Zakładasz się o sto funtów szterlingów, że za miesiąc będę już żonatym?

— Dobrze, trzymam zakład i wiem, że wygram, że twoje sto funtów oddamy miss Arabelli Baltimore na jej gniazdo dla największych łobuzów Londynu.

— All right!

Na drugi dzień po tej rozmowie lord Blackberry płynął na pokładzie parowca Queen Victoria do Nowej Zelandji. Parowiec minął już Gibraltar, a na widnokręgu rysowały się błękitne skały wysp Balearskich, gdy lordowi Randolfowi podano depeszę iskrową z Oxfordu: „Najcudniejsza kobieta na świecie jest Polką. Nazywa się miss Halina Zbrojomirska".

W dwa dni po wylądowaniu lorda Randolfa w Hobbartown, gdy spokojnie zapijał „afternoon tea" (popołudniową herbatę) w hotelu Majestic, czarny Numbo, posługacz hotelowy, przyniósł mu depeszę: „Ślub odbył się w Magdalene College w Oxfordzie. Przysyłaj sto funtów".

Teraz lord Randolf rzekł krótko:

— All right — i przez Numbę wysłał telegraficzny przekaz: „Miss Arabella Baltimore, Londyn, Holborn Viaduct 73. Bank of England wypłaci sto funtów na gniazdo łobuzów. Proszę o westchnienie za duszę warjata".

Tak lord Blackberry uczcił uroczystość zaślubin swego największego przyjaciela lorda Henryka Castelbury of Avon and Hampshire.

2. MATKA LORDA RALFA.

Major Przemysław Zbrojomirski bardzo czynny brał udział w powstaniu styczniowem. Jego dzielna partja tuż przed oczyma kozackich i dragońskich oddziałów przebiegała Polskę, niepokojąc ciągle wroga.

Najchętniej jednak major Zbrojomirski trzymał się skalistego grzbietu, gdzie miał dużo rodziny, a w tej lesistej i skalistej okolicy teren nadawał się doskonale do partyzantki: oddział wypadał z lasów, gromił wroga i cofał się za pasmo górskie. Czasem grupkę rezerw ukrył major

w jaskini, których tam jest pełno, a uderzywszy na znaczniejszy oddział kozacki, udawał, że się cofa. Zachęceni powodzeniem kozacy rzucali się za nim, a tu z groty wypełzali powstańcy i uderzali na tyły wroga.

— Czarownik! — wołali kozacy na dzielnego wodza — z ziemi wyprowadza wojsko, z kamieni robi żołnierzy!

A on tylko umiejętnie wyzyskiwał teren, pełen skał, jaskiń, bukowych lasków, wąskich przejść i spadzistych zboczy.

Pomimo jednak nadludzkich wysiłków wodzów, powstanie chyliło się ku upadkowi, a majorowi groziło rozstrzelanie, lub gorsza od niego syberyjska katorga.

Gdy od naczelnego rządu otrzymał przez wikarego z parafji wiadomość, iż partję należy rozpuścić, wezwał swych chłopaków do rodzinnego majątku, tam ich zaopatrzył w papiery, żywność, ubranie i rozpuścił do domów.

Czekał tydzień jeszcze, czy nie będzie który z dawnych podwładnych zgłaszał się o pomoc, a po tygodniu postanowił i sam wyruszyć na emigrację.

Właściwie mówiąc, nie sam, miał bowiem major córkę jedynaczkę, Halinkę, którą mu umierająca żona zostawiła Dziewczynka była żywym portretem nieboszczki majorowej, ojciec kochał ją szalenie i nie ruszyłby się z kraju bez ukochanej córeczki.

Lecz po drogach kręcili się kozacy, i groziło niebezpieczeństwo. Ubrał się więc major w sukmanę chłopską, Halinkę odział w wełniak, trochę pieniędzy zaszył w ubranie i powędrował piechotą ku południowi.

Halinka dzielnie dotrzymywała kroku ojcu: lasami przedarli się do granicy: Major znał po drodze każdy zakątek, każdy gaj, każde źródło.

Sypiali po jaskiniach, po opuszczonych chatach. Dłuższy odpoczynek mieli w grocie Łokietka w Ojcowie, dokąd im stary Konwalinka, chłop z pod Chełmowej góry przynosił o zmroku mleko i chleb, aż wreszcie dotarli do Krakowa i tu odetchnęli.

Należało zdecydować się: co czynić dalej. Major za młodych lat studjował zagranicą, a długi czas był na uniwersytecie w Oxfordzie.

— Wiesz, Haluś, najlepiej pojedźmy do Anglji, co?

— Najlepiej to do domu, ale jeżeli nie można, to jedźmy tam, gdzie tatuśkowi będzie dobrze".

— Znam dobrze angielski, w Oxfordzie mam dużo przyjaciół, tam nam będzie dobrze.

Chciało się Halince głęboko westchnąć, ale czuła, że zrobi tem ojcu wielką przykrość, więc kiwnęła głową na zgodę, i pojechali do Triestu.

Stamtąd morzem popłynęli, zatrzymując się w Palermo, w Neapolu, na Gibraltarze i w Hawrze, aż wylądowali w Londynie.

Sir Robert Percy, dziekan uniwersytetu w Oxfordzie, na list majora odpowiedział:

„Drogi Panie, ci, co walczyli o dobro i wolność swego kraju, zawsze mogą liczyć na życzliwe przyjęcie w Oxfordzie. Wakuje obecnie posada bibljotekarza w Magdalene College, a że wiem, jak dobrze włada pan językiem angielskim, przeto proponuję Panu objęcie tej posady. Znam też i pamiętam Pańskie wykształcenie, poczucie honoru i obowiązku, oraz rycerskość powszechną u Polaków, co daje nam rękojmię, że Oxford zyskuje kulturalnego i wybitnego człowieka.

Oczekiwać będziemy Pańskiego przybycia, teraz zaś załączam wyrazy pełne szacunku.

Robert Percy, Dziekan".

W ten sposób major został bibljotekarzem w Oxfordzie, a Halina Zbrojomirska wyrosła na uroczą miss. Potrafiła ona tak podbić serca towarzystwa oxfordzkiego, że jej powierzono zaszczyt odznaczenia zwycięzcy na regatach Oxford - Cambridge, które interesują gorąco cały świat anglo-saski.

Przy doręczaniu zielonej, haftowanej szarfy zwycięstwa lord Henry Castelbury zobaczył po raz pierwszy swą przyszłą małżonkę.

3. LORD RALF.

W sklepionych komnatach zamku Castelbury, pamiętających wojny Białej i Czerwonej Róży, stała kołyska, którą jeden z Castelburych dostał od królowej Elżbiety.

W kołysce wierzgało nóżkami stworzenie, które nazywało się mały lord Castelbury. Nad kołyską stali rodzice:

— On jest piękny, jak prawdziwy Polak — mówiła matka.

— Jest też dzielny, jak rodowity Anglik — dodawał ojciec.

Sprzeczka o to: czy syn ma w sobie więcej Polaka, czy Anglika była jedynym sporem w najszczęśliwszem stadle w Castelbury.

A mały lord wyrzucał nogami i machał rękami, jak angielski bokser, a wrzeszczał jak pełnej krwi Mazur.

Liczni krewni przychodzili oglądać małego potomka rycerzy krzyżowych i wojen tureckich.

Ciotka lorda, lady Agata Worthing, oglądając wnuka przez binokle, mówiła: — No, tak, niczego, szkoda tylko, że on nie jest pełnej krwi angielskiej.

Na to jej córka, miss Daisy odparła: — Ależ, mamo, takie cudne oczy marzące mogą mieć tylko Polacy.

Na te rozmowy mały lord zauważył:

— Tla, pla, ptia, mu stap — co znaczyło: „niech licho porwie wszystkie stare ciotki!

I wzrastał mały Ralf Castelbury, ćwiczony przez ojca, a kształcony duchowo przez matkę. Po długich godzinach

ćwiczeń sportowych lubił chłopak siadać na stołeczku przy nogach matki i słuchać jej opowiadań.

— Daleko stąd jest ojczyzna twojej matki. Wielki piękny kraj nad Wisłą. Rozległe pola, malowane zbożem rozmaitem, pozłacane pszenicą, posrebrzane żytem. Trudno ci opowiedzieć, jaki to jest piękny kraj... — w oczach matki zabłysły łzy.

— Czego płaczesz, mamo?

— Bo mój kraj jest w niewoli, rozumiesz dziecko ten straszny wyraz? Niewola, ucisk, uciemiężenie, klęska.

Wszedł na tę rozmowę stary dziadek Zbrojomirski.

— Cierpliwości, moja córko, cierpliwości. Nadejdzie dzień wymiaru sprawiedliwości: runą w przepaść gnębiciele, a ona zatriumfuje.

— Ale dlaczegoż tyle lat cierpień?

— Wola Boża.

— Ja tak pragnęłabym już widzieć ten świt, ja życie swoje złożyłabym chętnie dla swej Ojczyzny!

I wzrastał mały Ralf Castelbury z wielką miłością do Polski, wpajaną mu przez matkę.

Niestety, życie jej gasło. Zabijała je tęsknota za krajem. Lord Henryk woził żonę po najzdrowszych miejscach Europy: na włoskie wybrzeża, na szwajcarskie góry, do norweskich fiordów, ale to nic nie pomagało.

— Jedno mogłoby ją uzdrowić — mówił stary doktór Smith — powrót do ojczyzny.

Ale pomimo usilnych starań lord Henryk nie mógł otrzymać pozwolenia na przyjazd żony do Polski, a córka powstańca gasła powoli i cicho.

— Gdy wyrośniesz, synku, jedź do Polski, zobacz stare nasze gniazdo i ten modrzewiowy dwór, co stoi u stóp zamkowej góry. Zobacz z wieży czerwone dachy kościołów miasteczka i srebrną wstęgę rzeki.

— Zobaczę, mamo, zobaczę, pojedziemy tam razem.

Ale matka nie doczekała wyjazdu: pochowano ją na obczyźnie, tylko major rzucił jej na trumnę jedną garść ziemi polskiej, zabranej z kraju na wygnanie, a drugą zachował dla siebie.

Wkrótce też i ona była zużytkowaną.

— Ralfie — mówił stary powstaniec do wnuka — w tobie płynie krew polska, weź ten mój największy skarb: garść polskiej ziemi i rzuć ją na moją trumnę.

Posłuszny wnuk spełnił polecenie dziada, lecz trochę tej ziemi zachował, mówiąc:

— Zanim pojadę do ojczyzny mojej matki, niech chociaż tę odrobinę jej ukochanej ziemi zachowam na pamiątkę.

Gdzie znajdował się stary rodzinny zamek Zbrojomirskich, lord Ralf nie wiedział. Major nigdy nazwy nie wymieniał i córka, wiedząc, że to dlań przykrość, milczała. Obiecywał mu dziadek wszystko opowiedzieć, lecz choroba i śmierć starego powstańca nastąpiły tak szybko i niespodzianie, że wnuk nie zdążył, a nawet i nie śmiał wypytywać dziadka.

Papierów nie zostało prawie żadnych, bo przed Rosjanami stary Zbrojomirski wszystko popalił. Jedynie tylko w starym pugilaresie dziadka znalazł lord Ralf karteczkę z napisem trudnym do odczytania, bo napisanym nie literami lecz cyframi:

Gniazdo nasze.

Gdzie 17, 9, 12, 9, 3, 1 ma swe źródła, gdzie 17, 9, 12, 9, 3, 1 wznosi swe mury, ród Zbrojomirskich usłał gniazdo swoje. Imię jego: 19, 14, 16, 12, 5, 15. Widać zeń 16, 7, 18, 16, 4, 24, 9, 5, 15, 9, 5, 3, orle gniazdo 2, 16, 15, 1, 18, 16, 22.

oto wszystko, co zostało jako wskazówka.

Odcyfrowanie tej zagadki i poznanie kraju swej matki postawił sobie lord Ralf za zadanie życia.

4. LEW-ORZEŁ.

Ulubioną nauką lorda Ralfa Castelbury była awjatyka. Zapisywał całe arkusze wyliczeń, kreślił coraz to nowe projekty poszczególnych części, rysował nowe wzory, a później robił z nich modele i do zadziwiających dochodził rezultatów.

Jego samoloty były zwinne jak jaskółki, posłuszne, jak wierny rumak, lekkie, a mocne. Opierały się wichrom i burzom, wzbijały się w górę po linji pionowej, jak skowronek z dźwięczącą piosenką w majowy słoneczny poranek.

Były przytem tak silne, że dźwigały bez trudu kilku ludzi i zapasy, słowem, budziły podziw.

Lord jednak zazdrośnie strzegł swych wynalazków i nie publikował ich, sekrety swoje chował dla siebie.

Jeden z jego licznych znajomych, Prusak, baron von Lichtenstein, zwrócił się raz doń z propozycją:

— Czy nie zechciałbyś, lordzie, sprzedać swych wynalazków awjatycznych? Sądzę, że twój samolot łatwo może udźwignąć ze trzy mitraljezy?

— Nawet, cztery, baronie.

— Nawet cztery? Ależ to zrobiłoby przewrót w strategji! Cesarski rząd niemiecki ofiarowałby ci, lordzie, olbrzymią sumę za twoje samoloty.

— Nie mam na wyprzedaż, baronie, moich myśli i moich marzeń.

— Kwota, jaką cesarski rząd zaproponuje, stanowić może miljony!

— Obawiałbym się zubożyć cesarski rząd i dlatego wynalazek mój oddam bezpłatnie swojej ojczyźnie.

— Anglja jest tak potężną, że da sobie radę i bez twoich darów, milordzie.

— Tak jest, więc też oddam to drugiej mojej ojczyźnie: Polsce.

— Polsce? Lichtenstein zrobił zdziwioną minę — Polsce? Takiego kraju wcale niema.

— Dla pruskich baronów niema, dla ludzi uczciwych jest. Czy pozwolisz cygaro, baronie?

— Dziękuję. Cóż Polska będzie robiła z tym samolotem?

— Nadleci do Prus, gdy samolot będzie dźwigał sześć mitraljez.

— Żegnam pana, milordzie.

— Szczęśliwej drogi, baronie.

Ralf uśmiechał się złośliwie:

— Właśnie, będę sobie łamał głowę dla cesarskiego rządu niemieckiego, także pomysł! Gdy wykończę wszystko pomyślnie, oddam to Polsce. Jeżeli będzie potrzebowała, niech ustawi tu mitraljezy i broni się od wrogów, jeżeli nie—niech naładuje towary, posadzi ludzi, niech korzysta, jak chce z mej myśli, bo to myśli mojej ukochanej matki, Polki.

Przez parę lat pracował jeszcze lord nad swojemi wynalazkami. Wybuchnęła wojna, walczył w szeregach, po demobilizacji wrócił do swych prac, a rezultatem ich był samolot przedziwny, jakiego jeszcze nikt nie zbudował. Wszystkie zalety: prostotę konstrukcji, siłę, zwinność, wytrwałość, obrotność, słowem, wszystkie doskonałości miał on w najwyższym stopniu.

Lord Ralf nazwał go „Lew-Orzeł", na pamiątkę herbowych znaków swoich rodziców: ojcowskiego brytańskiego Lwa i Białego Orła swej matki. Na swym samolocie postanowił lord pojechać do Polski, aby odwiedzić ojczyznę matki swojej, którą kochał nad życie.

5. NA BRZEGU MORZA.

Lew-Orzeł przypłynął do Gdańska na parowcu angielskim rozebrany na części, które dopiero na kaszubskim brzegu składano. Wynajął lord Ralf obszerną łąkę pod Gdynią i tam wzniesiono rusztowania.

Cała gromadka Kaszubów pracowała przy składaniu samolotu, a że lord nieźle mówił po polsku, więc też stosunek z mieszkańcami Gdyni, Oksywia, Radłowa nawiązał się bardzo przyjemny.

Zaciekawieni robotami przybywali też ludzie z pod Pucka, ze wsi na mierzei Helskiej, więc z Jastarni, z Chałup, z Boru. Znali lorda rybacy, znali rolnicy okoliczni, lubili gawędzić z nim o Polsce, o jej dziejach i ludziach.

— My se myślim — mówił stary rybak Jutrzenka-Trzebiatowski do lorda — że już najgorsze minęło, że my już zawsze teraz z Polską będziemy?

— Naturalnie, przecież tu jest Polska, a wy to czysty polski naród.

— Kaszuba jest uczciwy i sprawiedliwy. Kaszubom Prusacy straszną czynili krzywdę, uciskali ich, wydzierali ziemię, gnębili. Tak nie idzie z ludźmi. Musi jeden dla drugiego być bratem, nie zaś wilkiem.

— Sprawiedliwie mówi — potakiwali rybacy.

— Sprawiedliwie — potwierdził lord Ralf.

— Tu cała ziemia nasza: aż do jeziora Łeba, a ku południowi aż do Noteci siedzą Kaszubi, a nie Niemcy.

— Juści, juści, koło Pucka, Wejherowa, koło Kartuz, Kościerzyny, Tucholi, nad Radunią, nad Głdą, nad Brdą, wszędy tu jest nasz naród kaszubski.

— Dawniej to jeszcze i dalej nasi byli, aż za Starogard, Kołobrzeg, ku Szczecinowi i rzece Odrze nasz naród kaszubski mieszkał, ale te ziemie to już Niemcy wydarli nam.

— A jakże tu u was życie idzie, gospodarka? — pytał lord.

— Widzicie, panie, to tak: nad morzem to się łowi ryby, a i gospodarstwa są ładne, bo tu ziemie dobre. Posiej co chcesz: pszenicę, jęczmień, posadź buraki, tytuń, wszystko dobrze pójdzie. Dalej od morza to jest wysoki wał, jakoby grobla, a na niej dużo jezior, bagien, moczarów. Tam też rybacy są jeziorni, są sianokosy, są rolnicy, ale grunty tam są już gorsze. A po drugiej stronie tego wału, to już przeważnie piaski i lasy wielkie, sosnowe...

— Tucholska puszcza — przerwał ktoś.

— Tak, Tucholska puszcza, i inne bory wielkie.

Wśród robotników zaczęła się sprzeczka po niemiecku, a lord zdziwiony zwrócił się z zapytaniem, dla czego mówią obcym językiem?

— Bo to są, proszę pana, Kosznajdry.

— Kosznajdry? Cóż to za jedni?

— A to są Niemcy, którzy siedzą w samem sercu kaszubskiej ziemi, koło Chojnic.

— Czy dużo ich tam jest?

— O, jest ich kilkanaście tysięcy, ale to dobre niemczyska, nie takie, jak Prusaki. Z nimi żyjemy w zgodzie.

— Jo—wtrącił się jeden z Kosznajdrów—mi tu szedżeć tysząc rok, od kszondz Psiemislaw.

— Ale, ale, jaki ksiądz? Przemysław to był książę pomorski.

— Jo, jo!

Wyrobiwszy sobie zdolnych pomocników lord Ralf robił wycieczki po okolicy: wybrał się do Kartuz, do Kościerzyny, do Pucka, do Wejherowa. Podążył do Bytowia i Lęborka, pojechał do nadbrzeżnego jeziora Łeba. Chodził po wsiach puszczańskich, nad brzegiem Bałtyku, po przesmykach między jeziorami, słowem po całym kraju kaszubskim i wszędzie widział wsie polskie, słyszał mowę polską, zachwycał się pieśniami polskiemi, pieścił dzieci polskie.

Gdy zbadał to wszystko, wziął ze swej podręcznej bibljoteczki książkę niemiecką pod tytułem „Kaschuben Land und Volk", napisaną przez pruskiego radcę von Ochs i na stronicy 47 czytał: „Kaszuby, to kraj czysto niemiecki, podobno tysiące lat temu mieszkały tu dzikie barbarzyńskie ludy, zwane Polakami. Gospodarna i mądra pięść pruska wytępiła tych barbarzyńców, i dziś na obszarze tych ziem niema ani jednego Polaka, ani jednego słowa nie mówią tu po polsku.

Lord wziął oprawiony w srebro ołóweczek i na marginesie napisał: „Kochana Mamo, donoszę Ci, że ten pan bezczelnie łże".

Lord Ralf wierzył, że dusza ukochanej matki towarzyszy mu i porozumiewał się z nią często.

6. POMOCNIK LORDA RALFA.

Lew-Orzeł był już gotowy, należało tylko zaopatrzyć go w niezbędne do podróży zapasy, oraz wziąć towarzysza podróży. Lord Ralf chciał wziąć sobie do pomocy chłopca, któryby nie tylko załatwiał drobne usługi w podróży, ale też żeby się nauczył obsługiwać samolot. W ten sposób nie traciłoby się czasu na odpoczynki, i gdy jeden położy się spać, drugi czuwać będzie przy aparacie.

Aby wynaleźć sobie pomocnika, lord Castelbury dał ogłoszenie w Gazecie Gdańskiej: „Młody chłopiec, Polak, inteligentny i dobrze wychowany potrzebny jest na parę miesięcy do podróży. Zgłaszać się w Gdyni do samolotu Lew-Orzeł".

Rezultatem ogłoszenia było, że kilku chłopców przybyło do Gdyni, popatrzyli, pogadali, ale nie mogli się zdecydować na ryzykowną podróż paromiesięczną w samolocie. Jeden z nich miał wielką ochotę, już się zdecydował, ale na drugi dzień przyszła jego matka z wielkim płaczem, żeby jej dziecięcia nie porywać, bo ona się z rozpaczy rzuci do morza i utonie.

— Ależ, pani łaskawa, przecież ja gwałtem chłopca nie wezmę. Jeżeli on chce, a rodzice pozwolą, to dobrze, a jeżeli nie, to trudno. Niechże się pani uspokoi.

Pani odeszła, uprowadzając jedynaka.

Lord już zaczął tracić nadzieję, czy znajdzie pomocnika, gdy Trzebiatowski zameldował:

— Panie lordzie, zjawił się nowy kandydat.

— Proszę go tu poprosić.

Wszedł młody chłopak, wysoki, smukły, zgrabny, krótko ostrzyżona głowa, duże błękitne oczy, rysy regularne, cała postać bardzo sympatyczna.

Lordowi podobał się od pierwszego rzutu oka.

— Jestem Włodek Mieczyński z Lubelskiego. Wszak pan potrzebuje chłopca do pomocy?

— Yes.

— Czy mógłbym się przydać?

— All right.

Nigdzie jeszcze na świecie nie zawarto tak łatwo i szybko umowy. Ale też lordowi bardzo Włodek przypadł do gustu, a jemu lord też bardzo się podobał, i oto w krótkiem, typowo angielskiem: „Yes, all right" zamknęło się kilka miesięcy życia Włodka.

Lord Ralf nie rozpytywał się go, skąd jest, co porabia, jakie było dotychczasowe jego życie: widział we Włodkowych oczach uczciwość i to mu starczyło za wszystko. Uczciwość to szczyt doskonałości ludzkiej.

Włodek w oczach lorda wyczytał to samo uczucie: prawość charakteru, i dlatego ani na chwilę nie wahał się ze zgodą. Sympatja dwóch serc związała je węzłem przyjaźni.

Przez parę dni lord obznajmiał Włodka z obsługą aparatu i zdumiewał się nad jego pojętnością (naturalnie Włodka, a nie aparatu), chociaż Lew-Orzeł robił też wrażenie mądrego, posłusznego stworzenia. Miał i Lew-Orzeł swe wielkie zalety i można powiedzieć, że miał swój charakter.

Tak tedy trzy istoty: lord Ralf, Włodek i Lew-Orzeł, miały spędzić razem kilka miesięcy pomiędzy niebem i ziemią, bujając wśród obłoków nad ziemią polską.

Lew-Orzeł znał swego pana, rozumiał jego życzenia i rozkazy, drgał z zadowolenia, gdy lord siadał do łodzi, polubił też i Włodka, gdyż czuł, że to zastępca jego pana. Lekko, zgrabnie unosił się nisko ponad ziemią przy pierwszych wzlotach Włodka, jak gdyby bojąc się, aby mu się nie stała krzywda.

Po tygodniu prób Włodek wzbijał się wysoko nad ziemię i z lotu ptaka oglądał kraj kaszubski: jego najwyższy szczyt górę Wieżycę, co na 331 m. wznosi się nad poziomem Bałtyku, wesoło wijącą się rzekę, ową „wiecznie radującą się Radunię", jasno-złociste piaski wybrzeża w Sobotach, wysokie wieże Gdańska i cały ten cudny kraj nadmorski.

Włodek był oczarowany. Patrzył z miłością na tę ziemię, patrzył z wdzięcznością na lorda, patrzył z ufnością na Lwa-Orła i był bardzo szczęśliwy.

— Czy znasz dobrze Gdańsk? — zapytał go lord Ralf.

— Znam, spędziłem tam rok cały.

— Pojedziemy zatem po sprawunki, po żywność dla Lwa-Orła, a przy tej okazji zwiedzę to starożytne miasto. Czy zechcesz być moim przewodnikiem?

— Z miłą chęcią, milordzie.

— All right!

7. W OLIWIE.

Przez Radłowo, Orłowo, Kolebki, Soboty, śliczną drogą nadmorską wędrował lord Ralf z Włodkiem do Gdańska.

Włodek znał dobrze okolicę, więc namówił lorda, aby skręcić na chwilę do Oliwy, której cudne ogrody, a nad niemi wieże i czerwone dachy piętrzyły się wysoko.

Biało ubrany zakonnik przyjął wędrowców u furty i poprowadził w głąb starego opactwa, opowiadając, że jeszcze w roku 1178 książę pomorski Sobiesław sprowadził tu białych ojców ze Szczecina.

— Oto tu spoczywa nasz fundator — mówił zakonnik, pokazując pomnik z czerwonego marmuru—tu leży on, oraz książęta Świętopełk i Mszczuj.

— Ciekawa pamiątka—rzekł lord.

— Zobaczysz, milordzie, tutejsze organy, najsławniejsze na całą Polskę—dodał Włodek.

Jakoż po obejrzeniu świątyni, o. Serafin prosił brata muzyka, aby zagrał.

Cicho, lekko, jak powiew wiosennego wiatru szły po nawach oliwskich miękie tony organu.

Liście kolumn, kwiaty ołtarzy zdawały się rozwijać w pieszczących tonach melodji.

Lecz ojciec muzyk zmienił ton: z ośmiu tysięcy piszczałek zagrzmiała burza. Huk, jak potęga huraganu, zagrzmiał, zadrżały Sobiesławowe mury; jak wicher nadmorski, jak szum spienionych fal, tak huraganem tonów grzmiały organy. Przeróżne kunsztowne maszynerje zaczęły działać: aniołowie podnosili do ust trąby, wychodziły figury świętych, groziła kosą koścista śmierć, słowem, prezentował się cały pomysłowy mechanizm starych majstrów gdańskich.

Lord podziękował za przedziwną muzykę.

— A do izby traktatowej panowie nie pójdą? — pytał o. Serafin.

— Ach, ten traktat taki dla nas był bolesny i upokarzający—rzekł Włodek.

— Tak, tak — mówił o. Serafin—załamała się w nim potęga nasza, obcięto Białemu Orłowi skrzydła.

— Niedobrze znam dzieje tego traktatu, ojcze — rzekł lord Castelbury.

— Po „potopie", jaki zalał ziemie polskie za Jana Kazimierza, nareszcie trzeba było zawrzeć pokój. Tu się zebrali posłowie królów: polskiego, francuskiego, szwedzkiego, cesarza Niemiec i elektora brandenburskiego. Wyczerpana wojną Polska musiała przyjąć hańbiące warunki: zrzekła się zwierzchnictwa nad Prusami, oddała ziemie nadbałtyckie, upokorzyła się. Biedna moja ojczyzno! Tu, właśnie tu w 1660 roku podpisać musiał Jan Kazimierz ten bolesny akt.

W oczach o. Serafina pojawiły się łzy, lord milczał chmurny, Włodek zaciskał pięści.

— Losy królów są w ręku Boga, powiedział u grobu Łokietka królowi szwedzkiemu kanonik Starowolski. Sprawiedliwość jest nad światem, a kto dużo cierpiał, wielka go też czeka nagroda.

— Yes, lecz długo czekać, to boli.

— Zajaśnieje słońce.

— Oby najrychlej.

— Widać już świty i zorze widać!

Purpurowe promienie słońca oświeciły izbę traktatową, i aureola blasków otoczyła głowę białego mnicha.

Włodek pochylił się do bladej ręki przewodnika.

— Oby najrychlej, ojcze!

— Ufaj, synku, patrz, świeci słońce, a stadko mew pławi się w błękicie. Losy królów są w ręku Boga — poważnie zakończył o. Serafin.

Przez strzyżone szpalery ogrodu, założonego przez opata Jacka Rybińskiego, szli w zamyśleniu.

— Bóg z wami — pożegnał ich zakonnik.

8. GDAŃSK „WENECJA PÓŁNOCY".

Na szczycie Biskupiej góry usiedli na ławce. Przed nimi w całym przepychu leżała Wenecja północy—Gdańsk. Stada białych gołębi unosiły się pomiędzy wieżami.

„W gołębi morskich pióropuszu,
W szacie, co zblakłem złotem lśni,
Królewskich grodów patrycjuszu,
Prastary Gdańsku, witaj mi! — mówił Włodek.

Jak złocista gwiazda nad wysoką wieżą ratuszową, połyskiwała w słońcu figura Zygmunta Augusta. Liczne wieże kościołów, fantastycznie piętrzące się dachy, wielkie śpichlerze na polskie zboże, wszystko to tworzyło obraz prawdziwie imponujący.

Dookoła miasta ciągnęły się stare bastjony i forty, otoczone fosami, pełnemi wody! Bastjony, jak dzioby okrętów, wysuwały się ostro. Nazwy niektórych można było odczytać: Wilk, Wyskok, Niedźwiedź, Królik, Żyto, Wół, Lew, Jednorożec, Gniady koń—zbrojnym pierścieniem otaczały miasto.

Na sąsiedniej ławce niańka usypiała dziecko, śpiewając mu piosenkę ludową:

„Luli, luli, luli synku,
Zabili ci ojca w rynku".

— Dziwna pieśń — zauważył lord — dlaczego to taka smutna pieśń?

— Bo o smutnych rzeczach śpiewa — odparła zapytana.

— O czem, mianowicie?

— Eh, chyba pan wie?

Widok Gdańska.

— Gdybym wiedział, to nie pytałbym się.

— A, pewno. Otóż dawno, bardzo dawno temu, gromadzili się tu nasi ludzie na odpust świętego Dominika. A krzyżacy dostali się do miasta, poprzebierani za pielgrzymów, zakonników, ubogich kramarzy. Gdy się już zeszło ich sporo, na dany trąbą znak rzucili się na bezbronny, modlący się naród i 10.000 ludzi wyrżnęli. To było dawno, bardzo dawno.

— W 1308 roku — potwierdził Włodek.

Lord zachmurzył się, a po chwili rzekł:

— No, chodźmy do miasta, i poszli, a za niemi słychać było jeszcze śpiew.

— Luli, luli, luli synku.

Przez Wysoką Bramę weszli do wnętrza starego grodu. Na bramie były białe orły i łacińskie napisy: „Niech się dzieje najmądrzej wszystko, co się dzieje dla Rzeczypospolitej".

— All right! — rzekł lord po przeczytaniu.

Przez ulicę Długą poszli do Ratusza, podziwiając jego wysoką na 82 m. wieżę. Wewnątrz wprowadzono ich do

„Czerwonej izby" przez drzwi z herbem Jana III. Ściany całe wybite tu były czerwonym, wzorzystym aksamitem, piękne obrazy, rzeźby, zegary pokrywały ściany, a najpiękniejszy zegar to dar króla Stanisława Leszczyńskiego.

Przeszli do „Zimowej izby", zdobnej w herby Polski i Litwy, potem do „Białej", gdzie kiedyś wisiał obraz Triumf Władysława IV.

Na każdym kroku spotykali pamiątki po królach polskich, co potoki dobrodziejstw zlewali na miasto.

Naprzeciwko ratusza weszli do Artusowego Dworu. U wejścia już spotkali popiersia Zygmunta III i Władysława IV, a w sali wielki biały marmurowy posąg króla Augusta III, postawiony przez wdzięcznych Gdańszczan.

— Ależ to naprawdę polskie miasto -zawołał Castelbury.

— Wątpiłeś o tem, milordzie?

— Trochę, bo naczytałem się niemieckich przewodników, które uparcie twierdzą, że to gród teutoński.

— Nie zawsze można wierzyć niemieckim podręcznikom.

— Oh, yes, yes!

Doszli do mostu przez Motławę, a wchodziło się nań przez bramę.

— Widzisz, milordzie, to jest „Zielona Brama". Cały ten piękny gmach zajmowały pokoje królewskie; gdy władca polski przybywał do swego portu, tu miał swoje mieszkanie, był tu bowiem u siebie, jak w Krakowie, Poznaniu, Warszawie, lub Wilnie.

— Piękny gmach!

— Bagatela! piękne też postacie po tych komnatach chodziły: rycerski król Stefan, wszyscy Wazowie, mężny król Jan i jego piękna Marysieńka, mądry Leszczyński, świetne orszaki królewskie, słowem, wszystko, co miała Polska najświetniejszego.

— Z rozrzewnieniem patrzę na te mury. Ale chodźmy zobaczyć kościoły.

— Służę panu.

Poszli wzdłuż Motławy Długim Mostem, mając po drugim brzegu Śpichlerzową wyspę. Doszli do najstarszej windy, zwanej Żórawiem. Po 1200 okrętów zawijało pod Żóraw za polskich czasów.

Przez ulicę Szeroką szli ku dominikanom.

— Znów polska pamiątka—mówił Włodek—ten klasztor zakładał polski święty, co przywędrował tu aż z pod Karpat: święty Jacek Odrowąż, brat świętego Czesława i Świętej Bronisławy. Jeżeli czasami cystersi w Oliwie, lub kartuzi w Kartuzach szerzyli niemczyznę i rugowali polskość, to „czarni bracia" byli zawsze ostoją polskości.

— Ale to nie największy kościół gdański?

— Nie, największy to kościół N. M. Panny, ale on teraz jest dla protestantów. Jest tam w nim przepiękny obraz „Sąd Ostateczny", flamandzkiego malarza, Jana Memlinga, który zmarł pół tysiąca lat temu.

— Szkoda, że już nie mamy czasu na dalsze zwiedzanie miasta, lecz musimy poczynić zakupy do naszej podróży.

— A szkoda, bo to jest i muzeum piękne u franciszkanów, i zbrojownia, i królewska kaplica, zbudowana przez Sobieskiego, i dużo innych ciekawości.

— Yes, yes, ale Lew-Orzeł czeka. Musimy zamówić do niego benzynę, konserwy, zapasy i całą moc różnych rzeczy.

9. NOWY KANDYDAT: FERDEK MINOGA.

Słońce dobrze już chyliło się ku zachodowi, gdy lord z Włodkiem opuścili Gdańsk. W zachodniej zorzy stare miasto portowe Polski płonęło blaskami, szyby okien ratuszowej wieży promieniały purpurą, a złocista postać Zygmunta Augusta jaśniała, jak gwiazda.

— Jakże tu pięknie, milordzie, jakże tu pięknie!

— Oh, yes, bardzo pięknie.

Wśród will i ogrodów nad brzegiem Bałtyku wiła się ich droga. Słońce połowę swej tarczy zanurzyło już w zielonawej tafli morza, które, przepojone blaskiem, zdało się płonąć szkarłatem. Wreszcie słońce zatonęło zupełnie, zmrok ogarnął ziemię, a gdy stanęli na swej łące koło ogrodzenia samolotu, było już prawie zupełnie ciemno.

Zdziwili się, że Jutrzenka-Trzebiatowski nie wyszedł na ich spotkanie, jak to zwykle czynił, a jeszcze bardziej zdziwiła ich głośna sprzeczka, toczona w ciemności u furty Lwa-Orła.

Sprzeczały się dwa głosy: jeden to znany im dobrze głos Trzebiatowskiego, drugi zaś był to głos młodego chłopca, głos zagniewany, zirytowany.

— Ależ mówię ci po raz dziesiąty, że nie potrzeba.

— Jakto nie potrzeba? Chyba umiem czytać.

— To, coś czytał, to już załatwione.

— Załatwione? To nie może być, pamiętam doskonale ogłoszenie w Gazecie Gdańskiej: „Młody chłopiec, Polak, inteligentny, i dobrze wychowany potrzebny jest na parę miesięcy do podróży. Zgłaszać się w Gdyni do samolotu Lew-Orzeł". No, było takie ogłoszenie, czy nie?

— No, juści prawda, że takie ogłoszenie było.

— A widzisz pan, panie Lew-Orzeł, a więc teraz, czy ja nie jestem młody chłopiec?

— No jesteś, jesteś.

— Czy ja może nie jestem Polak, co? Może jestem taki szwab zakamieniały, jak pan, panie Lew?

— Co, ja jestem szwabem? A ty zatracony raku! Ja cię tu zaraz przeciągnę pasem.

— Wolnego, panie, wolnego... ja mówiłem o lwie, nie o panu.

— Lew też nie jest szwabem, bo jest anglikiem.

— Mniejsza o lwa, ja kocham orła, boć co prawda, cóż to jest lew? Łazi po drzewach i kiwa ogonem, wielka rzecz!

— Jeszczem też nie słyszał, żeby lew łaził po drzewach...

— No, bo to są różne gatunki lwów, ja mówię o amerykańskim, co mieszka na wyspie Celebes.

— Ależ ty wszystko przekręcasz...

— To właśnie dowodzi, że odpowiadam wymaganiom ogłoszenia: „inteligentny i dobrze wychowany", moją inteligencję już pan poznał, a co do dobrego wychowania, to jeśli pan w nie nie wierzy, to jak pana zamaluję, to panu świeczki w oczach staną.

— Wolnego, wolnego, widzę, że jesteś rzeczywiście okropnie dobrze wychowany.

— No, nareszcie się pan, panie Orłolew, przekonał, sądzę więc, że nie będzie mi pan bronił rozmówić się z tą angielską małpą.

Lord Ralf zatknął usta ze śmiechu, a Włodek zacisnął pięści. Już chciał rzucić się w obronie honoru swego pana, lecz ten powstrzymał go i znakiem nakazał milczenie.

— Niepotrzebnie będziesz zawracał głowę lordowi: już do podróży jest przyjęty inny chłopiec.

— Co, co? Inny chłopiec? Może też inteligentny i dobrze wychowany?

— Jakbyś wiedział: bardzo miły, rozumny, grzeczny...

— Co, co? Rozumny, grzeczny? Pan nie widziałeś jeszcze, panie Lwi Ogon... t. j. chciałem powiedzieć, panie Lew-Orzeł, pan nie widziałeś jeszcze dobrze wychowanego człowieka. Ja nim właśnie jestem, ja jestem, rozumiesz pan, panie Lwia Paszcza...

— Ach, rozumiem, rozumiem...

— A ten pański miły chłopaczek to pewno jakaś lala malowana, jakiś kulfon, co ja mu łapy poprzetrącam, rozumiesz pan, pańskiej lali nos rozwalę... rozumiesz pan? Ja jemu wszystkie zęby wytłukę...

Wstrzymywany przez lorda Włodek dygotał cały: stek zniewag, płynący z ust „dobrze wychowanego" chłopca, gniewał go, aż wreszcie, pomimo znaków i powstrzymywań lorda, Włodek rzucił się naprzód, porwał chłopca za gardło i zdławionym głosem wołał:

— Ja lala? ja kulfon? Mnie poprzetrącasz łapy? Ja ciebie wpierw zatłukę...

— Rany boskie! bandyci! — wrzeszczał napadnięty chłopiec.

Koło furty lotniska kotłowały się w ciemności dwa młode ciała, słychać było krzyki, jęki, uderzenia. Lord chwycił jednego za kark, Trzebiatowski drugiego za rękę, lecz dopiero po długiej chwili usiłowań udało się rozerwać splecionych w walce chłopaków.

Ty lalo, ty łobuzie, ty bandyto, ty zbóju — brzmiały jeszcze piękne epitety w powietrzu, potrochu burza uspokoiła się, a lord zabrał obu chłopców do swego pokoju.

Włodek szedł zażenowany i upokorzony: niepotrzebnie rozpoczął bójkę z nieznajomym chłopcem.

Ten drugi zaś pod nosem mruczał: — o, dobrze wychowany, a po nocy napada, ładne wychowanie.

Pod wpływem tych dogadywań byłby się Włodek może jeszcze raz rzucił na nieznajomego, ale już i Trzebiatowski ujął się za nim i rzekł do chłopca:

— Ady już nie dogaduj, bo to tylko podwórzowy pies tak poszczekuje bez końca.

Chłopak już miał wybuchnąć nową salwą wymysłów na starego rybaka, lecz właśnie lord zapalił światło, i obaj przeciwnicy zobaczyli się po raz pierwszy.

Chłopak był od Włodka niższy, ale lepiej zbudowany, nad zadartym wesołym noskiem połyskiwały mu sprytne, pogodne oczy. Ubranko ubogie, ale schludne, było teraz po bójce pomięte i utarzane w ziemi, jak zresztą i ubranie Włodka.

Stali obaj przed lordem, jak winowajcy.

— Jak się nazywasz? — pytał lord przybysza.

— Ferdek Minoga—brzmiała odpowiedź.

— Ile masz lat?

— Podobno trzynaście.

— Czem jest twój ojciec?

— Ja nie mam wcale ojca?

Włodek poruszył się.

— A matka?

— Ja nie mam wcale matki.

Włodek zbliżył się o dwa kroki do Ferdka.

— Któż się tobą opiekuje?

— Albo ja wiem? Sam sobie radzę, a pewno Pan Bóg coś tam o mnie myśli. Miałem sturuszkę ciotkę, to wzięła i umarła. Gdzieś podobno pod Łowiczem, czy gdzieś mieszka moja babcia Walentowa... czy ja wiem gdzie?

Oczy chłopca zaszły łzami, Trzebiatowski głośno obtarł nos.

— Wiem, żem Ferdek, alem sierota, samiuśki jeden na świecie, sam, samiuteńki... — głos mu zadrgał, oczy posmutniały.

W tej chwili Włodek podszedł do niego i wziął go za rękę. Ferdek, rozrzewniony swą sierocą dolą, nie pamiętał dawnej walki, oparł Włodkowi głowę na piersiach i zaczął szlochać. Włodek przytulił go do siebie i szeptał: — nie płacz, malutki, nie płacz, no, nie płacz—więcej nie wiedział, co mu powiedzieć.

A Ferdek objął go za szyję i powtarzał, szlochając: — sam... samiuteńki... sierota... sa...miut...ki...

Trzebiatowski bardzo głośno obcierał nos i oczy, a wzdychał, jak miech kowalski. Nawet zimny i zrównoważony lord oczy miał zamglone.

— Krew mojej matki bierze we mnie górę — zauważył.

Lord Ralf opanował się najpierwej.

— Czegoż więc Ferdek chce od nas? — zapytał.

— No, jak wyczytałam ogłoszenie w Gazecie, to zaraz chciałem się wynająć do pracy.

— Ładnie „zaraz" — zauważył Trzebiatowski—przecież to już parę tygodni temu stało w gazecie.

— No tak, ale ja byłem u majstra Schultza w Ełku i ten nie chciał mnie puścić, zresztą i sam nie mogłem, bo miałem z nim umowę aż do wczoraj, a przecież, kiedym się umówił, to nie mogłem już zrywać.

— Sprawiedliwie—zauważył Jutrzenka-Trzebiatowski.

— No, i spóźniłeś się — mówił lord Ralf — miejsce już zajęte.

— Ha... no... to pójdę znów na tułaczkę; ale aby już nie do Schultza, bom tam dużo wycierpiał. Ferdek posmutniał, wesołe oczy przygasły.

Włodek podszedł do lorda, jasne czoło promieniało, oczy świeciły się zapałem ofiarnym, wiśniowe młode wilgotne wargi drgały ze wzruszenia.

— Milordzie, rozmyśliłem się, inaczej sobie zarządzę sprawy. Proszę o rozwiązanie naszej umowy.

— Ależ, Włodku, jesteś mi bardzo potrzebny, umiesz już obchodzić się z samolotem.

— Ferdek obznajmi się z nim szybko, a ja mam już właśnie upatrzoną inną posadę—rzekł Włodek i okropnego spiekł raka.

— Aleś się zarumienił—zauważył lord Ralf z uśmiechem.

— Tak tu gorąco...—odparł Włodek, a właśnie Trzebiatowski zamykał okno, gdyż od morza pociągał dobrze chłodny powiew.

— Wielmożny angielski milordzie — zaczął uroczyście Ferdek—żebym ja zaś miał komu odbierać miejsce, to tak nie będzie nigdy: Włodek się zgodził, niech Włodek jedzie, ja se też znajdę robotę.

— Ależ, Ferdku, mnie nic na tem nie zależy, jedź ty...— rumienił się Włodek coraz więcej.

— Już ty nie gadaj, masz ochotę, to jedź, a ja... ja... — głos mu zadrgał — ja sobie dam radę.

Lord rozmyślał coś, coś obliczał na papierze, coś kombinował, wreszcie rzekł:

— Ciebie, Włodku, zwolnić nie mogę, musisz pozostać.

Włodek westchnął. Było to westchnienie smutku, Ferdkowi chciał on szczerze i serdecznie ustąpić miejsca, rozrzewniony jego sieroctwem.

Westchnął i Ferdek, ale głęboko i smutnie.

— Co do Ferdka, to dziś go przyjąć nie mogę.

— Ja mówiłem — rzekł Trzebiatowski.

— Ale jutro—kończył lord Ralf—od rana Włodek niech weźmie Ferdka do roboty. Zabieram was obu.

— Masz ci los! — zauważył Trzebiatowski.

— La Boga! panie lord, czy to naprawdę, czy ino mnie się tak śni?

— Jak to pięknie, milordzie, z twej strony — dziękował Włodek.

— To moja matka postanowiła — uśmiechał się tkliwie lord Ralf.

A chłopcy chwycili się za szyje, ucałowali serdecznie, zaczęli biegać po kancelarji, omal nie przewrócili starego rybaka, a ten marudził:

— Dopiero się bili, już się całują, aj młode to, młode.

10. FERDEK MINOGA NA MAZURACH.

Na drugi dzień od rana obaj chłopcy pracowali w hangarze. Włodek objaśniał Ferdkowi znaczenie i konstrukcję części samolotu. Ferdek otwierał ze zdumienia usta, ale chwytał wlot wszystkie objaśnienia, orjentował się szybko, zadziwiał swoim sprytem.

Tak pracowali do południa. Lord Ralf zachodził do nich kilkakrotnie, Trzebiatowski z Kaszubami znosili ładunki i towary zakupione przez lorda w Gdańsku, słowem, życie wrzało w ogrodzeniu, skąd wyciągał swe białe skrzydła Lew-Orzeł.

Po spożyciu obiadu usiedli sobie chłopcy w cieniu skrzydła samolotu, a Włodek rzekł:

— Mówiłeś wczoraj, że nie wróciłbyś do majstra Schultza w Ełku. Czy ci tam było źle?

— Oj źle, bracie, bardzo źle! Okrutny to człek, i wszyscy oni okrutni.

— Jacy oni?

— No, Niemcy, tacy jak Schultz, i podobni do niego.

Przecież koło Ełku mieszkają Mazurzy.

— Właśnie, że tak, ale Niemcy są dla nich bardzo niedobrzy.

— No, to oni wszędzie są tacy, czyżby tam więcej niż gdzie indziej?

— Oj, więcej, więcej bracie, dużo więcej. Ci Mazurzy, choć Polacy, ale należeli do tych pruskich krzyżaków, ci im narzucili protestancką wiarę, nie pozwolili drukować książek polskiemi literami, jeno niemieckiemi. A gdy Mazurzy, doszedłszy do rozwagi, zaczęli mówić, że są Polakami, to Niemcy zaraz im tłumaczyli, że to nieprawda, bo Polacy są katolikami, a wy jesteście, mówili Mazurom, ewangelikami, Polacy mają wszystkie książki inaczej drukowane, a wy inaczej, więc to najlepszy dowód, że nie jesteście Polakami.

— Co za okrutna przebiegłość!

— A jakże. Od małego dziecka już niemczą wszystkich. Chodziłem tam do szkółki. Nie wolno nam było ani słowa przemówić po polsku...

— Przecież to polskie dzieci były?

— Juści, że polskie, ale właśnie pan nauczyciel chciał koniecznie zrobić z nich Niemców. Mieliśmy w szkole pajaca, taką lalkę śmieszną, zrobioną z gałganów i szmat. Ta lalka nazywała się „Polak". Jeżeli które z dzieci rozmawiało po polsku, to nauczyciel za karę wieszał mu tego pajaca na szyi, a wszystkie dzieci wytykały to dziecko palcami, wyśmiewały się z niego i przezywały: „Polak, Polak!"

Włodek się zerwał, oczy mu gorzały:

— Polak, to zaszczytne, dostojne imię! Imię to napełnia dumą!

— Małe dzieci są to jeszcze głuptasy, śmieją się z kłopotów kolegi. Ja sam nieraz przedrzeźniałem się z takim biedakiem i wydrwiwałem go, przezywając, jak głupie bydlę: „Polak, Polak!" Jak sobie wspomnę te lata, to wstyd mnie oblewa. Ale człek był mały i głupi.

— Czy wszędzie tak tam jest na Mazurach?

— Wszędzie. W Olsztynie, w Działdowie, w Szczytnie, w Jańsborgu, wszędzie to samo. W każdej wsi, w każdej szkole tak dobierają nauczycieli, na krzywdę polskiego narodu.

— Czemuż się ludzie nie bronią od takich zniewag?

— Lud zapracowany, zahukany, straszony, nauczyciel go gnębi od dziecka, pastor go straszy, że Polacy przemocą będą go ciągnęli do swego Kościoła...

— Kłamstwo — wybuchnął Włodek. Polska zawsze była jednakowo dobrą dla wszystkich swych synów.

— Juści to wiem, bo przyjechał do Ełku młody kleryk z Pelplina na wakacje. Taki miły, smutny był i blady. W niedzielę nad jeziorem, bo mazurski kraj to same jeziora, spotkał mnie kleryk i zaczął ze mną gawędzić.

Powiada do mnie: a widzisz Ferdek tak i tak, tak i tak, Polska jest wielka, Polska jest piękna, Polska jest bogata, polski lud to najlepszy na świecie, Polacy to najwięksi rycerze, i tyle, tyle ci mi o Polsce opowiadał, że ci, bracie, zeszło do zmroku. Tom ci i płakał, i wściekał się, i darłbym ich w kawały ze złości za te krzywdy, co nam czynią.

— Wierzę ci, mnie się i pięści, i zęby same zaciskają na te uciemiężenia.

— A mnie! Na drugi dzień idę ja do szkoły i na złość głośno mówię: „dzień dobry!" A tu nasz pan nauczyciel jak nie wyskoczy, jak ci mnie nie porwie za ucho... naderwała mi psia mać ucho, krew poszła, a ja jemu: Polska jest wielka, Polska jest bogata, Polska jest piękna, polski lud najlepszy na świecie. I tak ci mu walę to wszystko, a krew z ucha leci, a szwab stoi aż zielony i gębę rozwalił, jak wrota. A tu niektóre chłopaki już mi wtórują: „ja, ja, ja", więc jak on ci się nie porwie, ten szwab, a ogromne chłopisko było, jak nie chwyci mnie za gardło, jak nie kropnie o ziemię: „ach, du polnisches Schwein!" Zaczął mnie kopać, piana mu z pyska leciała, bełkotał coś nieprzytomnie. A ja mu wciąż: Polska jest wielka, Polska jest bogata, Polski lud najlepszy na świecie!... Chłopaki już mi przywtarzają coraz śmielej: „ja, ja, ja!" Szwab wyrżnął mną o ścianę, aż zatrzeszczało, cud, że mi kości nie pogruchotał, a rzucił się na innych chłopaków. Goni ich po klasie, a oni już jak papugi powtarzają: „Polska jest wielka, Polska jest bogata, Polacy to najwięksi rycerze".

Szwab wpadł w pasję: schwycił jednego chłopca i drze go za włosy, aż garściami wyrywa, więc ja wołam: „hura na szwaba!" Chłopaki się rzuciły, podstawiły mu nogę, szwab gruchnął jak długi, a cały czas ciągle przeklinał Polskę i Polaków najobrzydliwszemi wymysłami. Spraliśmy go zdrowo i dopiero w nogi do domów.

— A to ci awantura! Szkoda, że mnie tam nie było, dopierobym używał!

— Wsypaliśmy mu rzetelnie. Ale on poleciał zaraz ze skargą do żandarma, oskarżył mnie, żandarmi wzięli mnie do ciupy i tam dopiero wypytywać mnie: kto mi nagadał

takich głupstw i świństw? Uważasz, to są głupstwa i świństwa, co? Ja mówię: sam sobie wykombinowałem. A juści, oni mnie i baty wsypali zdrowe, plecy mam całe w bliznach, głodem mnie morzyli, odgrażali się, że mnie zastrzelą, nawet mi lufę rewolweru już do głowy przykładali, a ja nic: sam i sam, bo nie chciałem kleryka wsypać, prawda?

— Naturalnie, i wierzę, że go nie wydałeś.

— Ja? to się wie. Niechby mnie zatłukli, niechby pasy ze mnie darli, niechby mnie na wolnym ogniu smażyli, za nicbym nie wydał. Tak mi dopomóż Bóg!

Ferdek miał stalowe błyski w oczach, a twarz mu się zrobiła jakby wykuta z głazu.

— No, a klerykowi nic się nie stało?

— Ale, nie stało! Ja nie pisnąłem ani słówka. Ale oni zaczęli badać, z kim ja się zadaję, i zaraz sprawdzili, żem całe popołudnie spędził z klerykiem nad jeziorem. Nie ode mnie tego się dowiedzieli, nie ode mnie! Zrobili w pokoju kleryka rewizję, znaleźli książki polskie, pieśni patrjotyczne, obrazki z Matką Boską Częstochowską. Oskarżyli go o namawianie do buntu, o wielkopolską agitację. Zakuli go w ciężkie łańcuchy, potargali sutannę, walili kolbą cichego, dobrego człowieka, pędzili go w biały dzień przez miasto do kolei.

Mnie wypuszczono właśnie z więzienia, i wtedy spotkałem ten smutny pochód. Ksiądz Władysław szedł blady, bardzo blady i smutny, choć w oczach gorzały mu jakieś blaski niebiańskie. Po białych, szczupłych rękach spływała krew z ran, jakie przecięły ciężkie kajdany.

Wybiegłem naprzód i przyklęknąłem na drodze: To nie ja! to nie ja!—wołałem.—Wiem synku—słodko odparł ksiądz. „Synku", pierwszy to raz tak przemówiono do mnie.—Błogosław mi, ojcze! błagałem. — Niech ci Bóg błogosławi, dziecino. — „Dzieciną, synkiem" mnie zwał. Łzy zalały mi wzrok, ogromny żandarm kopnął mnie ciężkim butem, aż padłem na bruk, a zdaleka jeszcze doszło mnie: — Bóg ci pobłogosławi, synaczku.—Żandarm kolbą uderzył w plecy młodego księdza. Uderzenie było tak silne, że krew rzuciła się ustami księdza Władysława, zachwiał się, omal nie upadł, ale

dwaj żandarmi porwali go pod ręce i powlekli w głąb dworca. Wywieźli go do fortecy.

— Okropna historja, okropna. Czy miałeś od niego wieści?

Ferdek posmutniał.

— Miałem. Przyjechał do Ełku na urlop żołnierz z fortecy, Niemiec, dopytał się do mnie. Znałeś księdza Władysława? pyta się. Znałem. Masz tu ten krzyżyk. Kazał ci to dać na pamiątkę. Przyjedzie tu do nas? pytam. Ale, mój drogi, już ci on odjechał do Boga. Umarł? Umarł, forteca go zjadła, a święty to był człek. Po śmierci jasność biła od jego trumny, kwiaty zakwitały na jego mogile. Poszedł żołnierz. I tak oto, widzisz, skończył życie człowiek, co pierwszy nazwał mnie synkiem i dzieciną.

— Ja też pokochałem jego pamięć. Chciałbym, żeby i mnie synem swym nazwał. A tobie, Ferdku, chcę być bratem. Zgadzasz się?

— Daj pyska.

Ferdek wyjął z za koszuli mały srebrny krzyżyk, położyli na nim ręce i poprzysięgli braterstwo.

Od tego czasu obaj chłopcy żyli po bratersku. Ferdek często opowiadał Włodkowi o pięknościach mazurskiego kraju, o jego licznych jeziorach, połączonych przesmykami, gdzie wśród trzcin i sitowia gnieżdżą się roje ptactwa, o wielkiej jańsborskiej puszczy, pełnej dzikiego zwierza.

A Włodek opowiadał Ferdkowi o wielkim dniu grunwaldzkiego zwycięstwa na tych właśnie ziemiach mazurskich, bo owe wsie, Grunwald i Tanenberg, leżą na Mazurach pruskich. Opowiadał, jak po pogromie krzyżackiego gada król Władysław Jagiełło poszedł oblegać Malborg, gniazdo wielkich mistrzów; o tem, jak się budzi do świadomości lud mazurski, poczuwając się do polskości.

Na tych opowieściach o mazurskiej ziemi upłynęło im kilka dni. Ferdek z samolotem się zapoznał, umiał nadawać ruch każdej składowej części, rozumiał wszystko doskonale, ale posmutniał, pomizerniał, jak gdyby za czemś tęsknił.

Na ten smętny nastrój Ferdka zwrócił też uwagę i lord Ralf. Pytał nawet o to Włodka i Trzebiatowskiego, ale ani jeden, ani drugi nie umieli dać na to pytanie odpowiedzi.

Postanowił tedy lord sam zahaczyć Ferdka i pewnego popołudnia rzekł:

— Mister Ferdek, widzę, że czegoś ci tu brakuje. Może mógłbym coś ci dopomóc?

— Eh, dziękuję panu lordowi, bardzo jestem ze swojej posady zadowolony.

— Jednak wyglądasz mi na smutnego, jak gdybyś za czemś tęsknił.

— Ja? Za czemże miałbym tęsknić? — westchnął mimowolnie.

— Załoga Lwa-Orła—mówił lord Ralf—musi żyć zupełnie szczerze i serdecznie. Nie może być sekretów i niedomówień wśród ludzi, zawieszonych pomiędzy błękitem nieba i zielenią ziemi. Przecież w każdym momencie grozi nam upadek i śmierć.

— Eh, Lew-Orzeł to pewniak, w jego łodzi niczego lękać się nie trzeba.

— Ale jednak wszelkie sekrety i tajemnice psują harmonję pomiędzy ludźmi. Bardzo więc prosiłbym cię, dear Ferdek, abyś zaufał mi i powiedział, za kim, czy za czem ci tęskno?

— Widzi pan lord mnie jest rzeczywiście tęskno, bardzo tęskno, ale nie chcę mówić, bo możeby się śmieli ze mnie.

— Wykrztuśże już raz, o co ci chodzi, bo mnie twój smutek niepokoi.

— Ha, no, trudno... bardzo mi tęskno za moją rodziną...

— Good bye! Wszak mówiłeś, że nie masz wcale rodziny?...

— No, to się tylko tak mówiło. Ale przecież człowiekowi smutno samemu na świecie, więc szuka koło siebie życzliwości.

— No, i znalazłeś ją?

— Jeszcze jaką! Ona jest taka miluchna, łaskawa, taka mięciuchna...

— Kto taki u licha?

— Ona,... Aza.

— Aza?

— Tak, Aza. To z mojej rodziny: ma na nosie czarną łatkę, a na ogonie żółtą obrączkę.

— Ależ to piękna rodzina: Ferdek ma rodzinę z ogonkiem!

— No, tak, cóż robić... wszystkie koty mają ogony.

— A więc to kotka?

— Tak, panie lordzie.

— Gdzież bawi obecnie twoja rodzina?

— Oboje są w Sobotach u Janka.

— Oboje, więc jeszcze jest ktoś więcej?

— No, tak, bo samej Azie tężby się nudziło, ma więc towarzysza zabaw.

— A więc to jakaś kocia para, mruczące małżeństwo.

— Nie, ten towarzysz i przyjaciel Azy to Trefl, zmyślny piesek czarny, podpalany piesek. Okropnie mądry, mówię panu lordowi, że napewno mądrzejszy od pana.

— Dziękuję za komplement. Trefl też siedzi u Janka?

— Naturalnie, cóż miałem z rodziną robić? Janek opiekuje się niemi. Obiecałem mu zato dziecko.

— Dziecko Azy i Trefla?

— No tak.

— Coraz dziwniejsza historja. Czy to dziecko jest też u Janka?

— Tak, nie można przecież rodziny rozłączać.

— Ależ to niemożliwe, musiałby to być jakiś potwór, jakiś koto-pies.

— A jak jest Lew-Orzeł?

— To co innego. Zechciej mi teraz powiedzieć, kto jest dziecięciem tej dziwnej pary, pani Azy i pana Trefla?

— Ich synek wesoło fruwa po powietrzu i ślicznie śpiewa.

— Słowik?

— Nie, szczygieł. Jest już u mnie dwa lata. A jaki mądry!

— Czy też mądrzejszy ode mnie?

— Czy ja wiem? Czy pan lord mógłby pofrunąć na wierzchołek tej topoli i tam pięknie śpiewać?

— Zaiste, nie potrafiłbym tego.

— A on to potrafi.

— I w twej rodzinie panuje harmonja i zgoda?

— Jeszcze jaka! przecież to wszystko rodzina.

— Czy pan Trefl nie gryzie Azy?

— Swojej towarzyszki? Nigdy.

— Czy Aza nie ma kiedy ochoty schrupać ptaszka na wieczerzę?

— Czasem to ona tak na niego patrzy, jakby chciała go zjeść, ale wtedy mówię jej: wstydź się, Aza, taka nobliwa kotka żeby miała się rzucać na małego ptaszka, wstydź się.

— A cóż ona na to?

— Ona się wstydzi, odwraca oczy, a Pikuś, szczygiełek, nazywa się Pikuś, siada jej na grzbiecie i zaczyna wyśpiewywać cudne piosenki.

— Ależ ty jesteś czarownikiem, Ferdku!

— Nie, tylko kocham je bardzo, a one mnie także.

— A czy nie żal ci rozstać się z niemi?

— Bagatela! Bardzo mi ciężko, dlatego smutny. Ale cóż ja mam począć?

— No, a gdybym się zdecydował zabrać twoją rodzinę do samolotu?

— Złociutki panie lordzie! Czy ja dobrze słyszę? Byłbym najszczęśliwszym chłopcem w Polsce!

— Bądź więc najszczęśliwszym chłopcem w Polsce. Wprawdzie Lew-Orzeł będzie przypominał arkę Noego, ale jeżeli ciebie to uraduje,... to maszeruj do Janka i przychodź z całą rodziną.

— Panie lordzie, ja już nie wiem, jak mam panu dziękować. Od pierwszego wejrzenia to ja sobie pomyślałem, że z pana musi być porządny chłop.

Te zachwyty i uznanie wypowiedziane były już prawie za drzwiami, uradowany bowiem chłopak bez czapki pobiegł co rychlej do Sobot po swą małą menażerję.

Pod wieczór mały sprytny psiak Trefl pędził przodem. Za nim szedł Ferdek, trzymając na rękach białą, delikatną Azę, a Pikuś jak warjat fruwał od krzaczka do krzaczka, wyśpiewując jakieś niebywałe, radosne arje.

Gdy podeszli do ogrodzenia, zobaczyli lorda, wracającego z przechadzki, Pikuś, jakby namówiony, pofrunął naprzeciw niego, siadł mu na ramieniu i zaśpiewał coś bardzo radosnego.

— On śpiewa: dziękuję, dziękuję panu...— objaśniał Ferdek.

— No, wkrótce musimy wyruszyć już stąd, bo za dwa, trzy tygodnie załoga Lwa-Orła może wzrosnąć do niebywałej liczby istot. Miałem jechać sam, przyjąłem Włodka, zabieram ciebie, a z tobą psa i kota.

— I Pikusia.

Pikuś na znak zadowolenia i dumy roztoczył ogonek, opuścił skrzydełka i zanucił jakiś marsz triumfalny prosto w ucho lorda Ralfa. Aza ocierała się o nogi lorda, mrucząc z zadowoleniem, a Trefl biegał dookoła z radosnem ujadaniem.

— Ależ to istna menażerja! — wołał lord Ralf.

— Moja ukochana rodzinka — mówił z rozrzewnieniem rozpromieniony Ferdek.

12. WSPANIAŁY KOMPAS.

Samolot lorda Ralfa różnił się od innych całym szeregiem odmiennych konstrukcyj, z których najbardziej zasługiwał na uwagę odmienny układ śmig. Zwykle bowiem samolot posiada jedną tylko śmigę, lub najwyżej dwie, a lord Ralf zrobił ich cały komplet.

Każda śmiga mogła być puszczana w ruch oddzielnie, ale zapomocą niesłychanie uproszczonego mechanizmu.

Motorów do poruszenia było trzy. Jeden pracował stale, drugi puszczano w ruch na wypadek zwiększonej pracy, trzeci stanowił zapas.

Bardzo kunsztownie obmyślił też lord Ralf stery: samolot mógł zmieniać kierunek lotu nie tylko na prawo lub na lewo, nie tylko do góry i na dół, lecz także we wszelkich kierunkach ukośnych, po wszystkich pochyłościach i krzywiznach.

Płaszczyzny skrzydeł, skonstruowane silnie, można było pochylać w dowolnym kierunku, można też było zwiększać je lub zmniejszać.

Łódź samolotu pleciona, lekka, zaopatrzona była we wszystkie niezbędne meble, a komplet przyrządów naukowych zazdrością napełniłby kierownika najbogatszego gabinetu fizycznego.

Dumą lorda Ralfa był przepyszny kompas, według jego wzoru i pomysłu wykonany w zakładach W. R. Mathews Co. Brooklyn N. Y. Ani odrobiny żelaza nie było ani w samym przyrządzie, ani w jego podstawce, aby igła magnesowa nie poddawała się wpływowi ubocznemu. Najdrobniejsze nawet śrubki i pręciki wyrobione były ze srebra.

Przesyłając ten kompas, sir B. H. Hartington, szef firmy W. R. Mathews Co., pisał:

„Od założenia naszej firmy (1783 r.) jeszcze takiego arcydzieła nie wykonaliśmy. Możesz być pewnym, milordzie, iż strzałka kompasu ani na 1 miljonową cząsteczkę milimetra nie chybia, i nigdy żadne powikłania co do kierunku przy naszym kompasie zdarzyć się nie mogą.

Włodek urządzeniami samolotu był oczarowany: wszystko tu było tak celowo, planowo zrobione, wszystko obmyślone tak bez zarzutu, tak łączyły się tu harmonijnie wszystkie wymagania dogodności, elegancji i trwałości, że odrazu odbierało się wrażenia dodatnie i pogodne.

Lord Ralf może mało zwracał uwagi na upiększenie łodzi, lecz gdy Włodek przypiął do ścianki portret Kościuszki, a wyżej dał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, lord uśmiechnął się:

— W urządzaniu samolotu kierował mną duch mego ojca, a twoje uczucia doskonale rozumiem przez pamięć mojej drogiej matki.

— Będziemy, milordzie, jak w zacisznem gniazdku—rzekł Włodek—samolot łączy potęgę lwa z rozmachem orła, a nazwa Lew-Orzeł zupełnie słusznie mu się należy.

— Zanim ułożymy plan całej podróży, wypadnie najpierw dokonać paru lotów próbnych, aby przekonać się o sprawności i sile naszego samolotu — mówił sir Ralf do chłopców.

— Poco próbować? Już ja panu lordowi mówię, że Lew-Orzeł to byczy aparat i już — obruszył się Ferdek.

— Nie zawadzi jednak wypróbować go, aby nie było później przykrości i zawodów — przezornie radził Włodek.

Lord Ralf zdecydował więc, że odbędą sobie niedaleką przejażdżkę i wrócą do Gdyni, aby poczynić drobne poprawki, jeżeli zajdzie tego potrzeba.

Zaczęto więc robić próbne wzloty po najbliższej okolicy: odwiedzono Kościerzynę, tę stolicę kaszubskiej ziemi, to wybrano się znów nad Wisłę do Grudziądza i Kwidzynia, raz wylądowano w Malborgu, gdzie zwiedzano stary zamek krzyżacki.

Po wylądowaniu lord Ralf z Włodkiem zwykle szli oglądać miasta i osobliwości okolicy, a Ferdek ze swoją „rodziną" pilnowali aparatu. Niechno tylko zbliżył się ktoś obcy, a gapiów przecież nie brakowało, Trefl ujadał zawzięcie, Aza miauczała przeraźliwie, a Pikuś fruwał gościowi tuż przed oczyma i świergotał zajadle, jak gdyby krzyczał: „nie zbliżaj się tu, niegodziwcze, bo cię zadziobię na śmierć".

Czasem jednakże Włodek zostawał przy aparacie, a Ferdek z całą menażerją wyruszał do miasta. Aza wtedy ociągała się, bo to była wielka elegantka, nie chciała więc narażać się na błoto i kurz, a przytem zwierzała się Treflowi: — Przyznam ci się, że nie każdy z twoich krewnych jest gentlemanem, jak ty nim jesteś. Wielu z twoich braci nie da spokojnie przejść uczciwej kotce, lecz zaraz łapią ją zębami za kark. Przyznasz sam, że nie jest to zbyt elegancko.

Trefl kiwał ogonem, że Aza ma rację, spuszczał łeb ze wstydu za swoich krewnych, ale biała kotka najchętniej zostawała w samolocie i, mrużąc ślepia, rozciągała się na płaszczyźnie skrzydła w pełnem słońcu.

Natomiast Pikuś pasjami lubił te wyprawy: fruwał to na drzewa, to na dachy, to siadał Ferdkowi na głowę, to jechał na Treflu, a piszczał, wrzeszczał i śpiewał, aż ludzie przystawali, przysłuchując się niezwykłym piosenkom.

Ferdek szedł dumny ze swej „rodziny", oglądał się tylko, czy podziwia go całe miasto.

Jakoż warto było podziwiać ten dar oswajania zwierząt, jaki miał w wysokim stopniu Ferdek Minoga. Nigdy nie krzyczał na swoich wychowanków, nigdy ich nie bił, ale gawędził z nimi dużo, czasem zawstydził, ale najważniejsza rzecz to to, że umiał cenić i kochać w nich żywą istotę, która czuje, myśli, przywiązuje się, ma serce i potrafi być wdzięczną.

Ferdek instynktownie wyczuwał, że ten twór Boży to nie bezmyślny pieniek, lecz istota, obdarzona pewnemi cechami charakteru i inteligencji. Szanował w Treflu jego czujność, wierność i przywiązanie, lubił Azę za jej dystyngowane pozy i elegancję życia, kochał małego Pikusia, co czarnem, jak paciorek, oczkiem, zaglądał mu w oczy, a małe gardziołko wytężał, aby zaśpiewać poranną pieśń o wschodzie słońca, a dzień cały dziobek nie zamykał mu się od świergotu.

— Ten Pikuś jest miły, może nawet byłby i smaczny— mawiała Aza do Trefla — ależ jazgot niemożliwy. Oczu zmrużyć przy nim niepodobna, bo zaraz śnią się uczciwej kotce różne małe smaczne ptaszki.

Już to Aza lubiła dużo opowiadać o swojej uczciwości.

Po paru pomyślnych wzlotach postanowiono odbyć trochę dalszą podróż i w tym celu przygotowano się do wyprawy.

W piękny czerwcowy ranek zawirowały śruby Lwa-Orła. Lekko i pewnie dźwignął się on z lotniska. Włodek stał przy sterze, a Ferdek powiewał chustką staremu rybakowi, wołając:

— Bądź zdrów, holenderski śledziu!"

Na to Pikuś wyfrunął z samolotu ku Trzebiatowskiemu i zapiszczał mu w samo ucho. — Śledziuuu, śledziuuu! hi, hi, hi! — i poleciał jak warjat naprzód przed samolot.

A Lew-Orzeł płynął gładko i cicho w błękicie. Zielonawa tafla Bałtyku okrywała się zasłoną mgieł, wreszcie

znikła zupełnie. Pod łodzią samolotu rozesłała się zielona równina łąk, pól i lasów.

Cisza była w błękicie, tylko czasami dochodziło ujadanie psów, a wtedy Trefl zrywał się, biegał zirytowany z jednego końca łodzi w drugi i szczekał zawzięcie: — ha, niegodziwcy! Niechno który się tu zbliży, a rozszarpię go na ćwierci!

Czy słyszano na dole jego gniewne okrzyki, niewiadomo. Pikuś sfruwał nad pole i wracał, ale śpiewał tylko coś bez sensu, Aza zaś wzruszała ramionami, a mrużąc zielone oczy, mówiła: — także!

W dole pod nimi odcinała się wśród zieleni srebrzysta wstęga rzeki.

— Noteć—rzekł lord, rozpatrujący się na mapie.

— Ach, Noteć, błotnista Noteć! — zawołał Włodek — to ta nieprzebyta zapora, co oddzielała nas od Pomorza. Ileż to nacierpiał się Krzywousty, aby swe wojska przez Noteć przeprawić.

— No, ale przeprawił? — pytał Ferdek.

— Przeprowadzał je właściwie po lodzie, w ciężkie mrozy zimowe. Zwyciężała Pomorzan jego drużyna, zdobywał grody pomorskie, był panem Szczecina, Kołobrzega, Starogardu, dotarł na jedyną słowiańską wyspę, Rugję, ale gdy wiosenne roztopy groziły, musiał rycerstwo swoje wycofywać z powrotem do kraju, bo inaczej przez nieprzebyte topiele nadnoteckie żywa dusza nie dostałaby się do Polski.

— No, ale teraz to tu nie widać takich błot—zauważył Ferdek, wyglądając przez poręcz łodzi.

— Błota nadnoteckie osuszono, zamieniono je na łąki, a teraz sianem stąd obsługują całą prawie Rzeszę niemiecką.

Lord, ciągle badający mapę, kazał skierować lot ku południowi.

— Będziemy trzymali się biegu Noteci aż do punktu, gdzie ona wypływa z Gopła.

— O, to dofruniemy dziś do Gopła?

— Wkrótce tam będziemy.

Lew-Orzeł sunął cicho i spokojnie nad srebrzystą wstęgą Noteci, która przepływa przez kilka jezior, łącząc je ze sobą.

Wyglądało to z góry jak duże jasne perły, nanizane na srebrzysty sznur. Po godzinie wolnej podróży nad Notecią Ferdek zawołał:

— Widzę jakiś słup ciemny.

— To już dojeżdżamy do Kruszwicy—objaśnił lord Ralf.

— A ten słup to zapewne owa sławna wieża, gdzie króla Popiela zjadły myszy.

Dźwięk tego wyrazu obudził słodko drzemiącą Azę. Zerwała się, przeciągnęła, a ogon ułożyła w znak zapytania, mrucząc przytem z zaciekawieniem:

— Myszy? — Gdzież one są?

Ale podróżni nie mieli czasu zwracać uwagi na Azę, bo podjeżdżali już do płaskiego brzegu jeziora. Pikuś poleciał już naprzód, usiadł na szczycie wieży i rozpoczął pieśń triumfalną:

— Oto mój pan, sławny Ferdek Minoga, przybył zająć tę wyspę i stare zamczysko! Podziwiajcie wszystkie ludy szczygłów, kosów, sikorek wielkość i potęgę pana Ferdka Minogi! Pi... pi... trli... li... pti... li...

Pikuś skrzydła opuścił, ogonek roztoczył, puszył się i nadymał, jakby to on właśnie zbudował samolot i wędrował w nim po kraju, a tak wrzeszczał, aż spokojne ptaki kruszwickiego parku wzruszały ramionami, spoglądały jeden na drugiego z podziwem, jakby mówiąc:

— A cóż to za warjacki krzykała takie piekło tu wyprawia?

Wtem Pikuś zmienił zupełnie ton:

— Uciekajcie narody, uciekajcie, jastrząb, jastrząb! Chowajcie się po krzakach!

Na błękicie nieba rysowała się siwa sylweta jastrzębia. Na rozpiętych skrzydłach wisiał nieruchomo w powietrzu, upatrując zdobyczy. Ptaki pokryły się w gałęziach drzew, srebrne mewy nad jeziorem zapadły w trzciny nadbrzeżne, Pikuś też był zbyt sprytny, żeby narażać się na niebezpieczeństwo i czmychnął co rychlej do samolotu i stamtąd słał w stronę jastrzębia bardzo brzydkie wymysły i złorzeczenia.

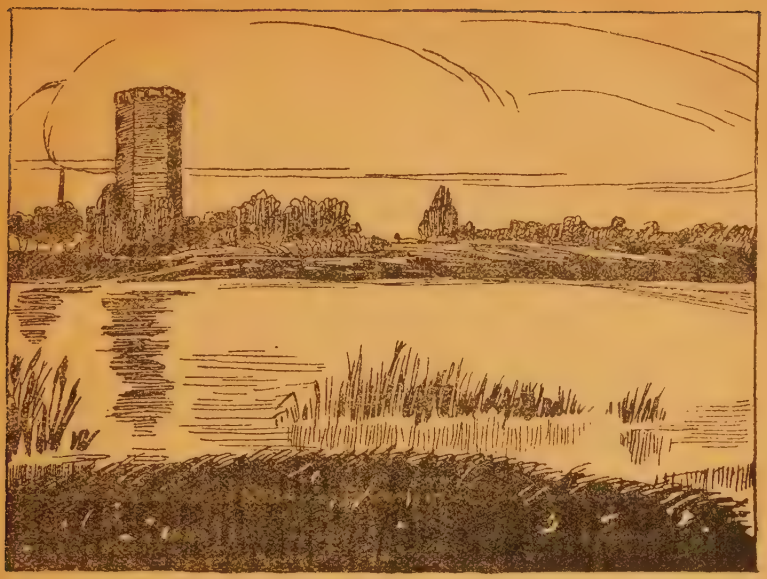

Nad Gopłem.

Lew-Orzeł stał już na ziemi na długim, wąskim przylądku, wcinającym się w jezioro. Lord Ralf z oliwiarką i kluczem badał i smarował części motorów, a chłopcom kazał iść zwiedzić miasto i porobić zapasy.

Naturalnie, że mieszkańcy Kruszwicy zebrali się obejrzeć dziwny samolot, ale chłopcy przecisnęli się przez zebranych i pobiegli do wysokiej baszty.

— To zapewne to jest Mysia wieża — mówił Włodek.

— Patrz, tu są schody na górę — zawołał Ferdek.

Pobiegli schodami na szczyt wieży. Widok stamtąd rozciągał się wspaniały: Gopło wąsko a długo zalegało srebrzystą taflą, ujętą w ramy nadbrzeżnych gajów i trzcin. W błękitnem przestworzu zataczały kręgi śnieżno-białe mewy, rybitwy lotne i śmigłe o skrzydłach śmiałych, ślicznie wyciętych. Nad brzegiem jeziora piętrzyły się domy miasteczka, kominy dużej cukrowni, a po drugim brzegu siwe mury kościoła.

— Jakże tu pięknie — mówił zachwycony Włodek.

— A pewno i cukierki są, skoro jest cukrownia — zauważył Ferdek.

— Co tam cukierki, ale jakie wspomnienia!

— Właśnie, i ja mam wspomnienie, że mamy kupić benzyny, kiełbasy, oliwy i szuwaksu, a że ma się ku wieczorowi i mogą sklepy zamknąć, więc chodźmy najpierw porobić sprawunki.

— Ha, masz słuszność Ferdku, chodźmy po sprawunki.

Gdy obładowani zakupami wracali do samolotu, Lew-Orzeł jeszcze był otoczony ciekawymi widzami. Lord skończył już swoje prace i wypoczywał na trawie, a straż koło aparatu pełnił Trefl, nie pozwalając zbytnio zbliżać się do maszyny. Szczekał przytem zajadle:

— Nie zbliżać się, nie zbliżać, lord Kasztan Bury nie lubi tego, no, gdzieś tu wlazł, chłopak? Ale lord to jeszcze nic... jeżeli przyjdzie mój pan, Ferdek, to was tu wszystkich rozpędzi.

Chłopcy przecisnęli się przez zwarty pierścień widzów i zwolnili lorda Ralfa, który poszedł do miasta na wieczerzę.

Po powrocie lorda chłopcy mieli wieczór wolny. Widzowie rozeszli się do domów, Aza, zwinięta w kłębek, już spała, Pikuś siadł na żelaznym pręcie, łebek wsadził pod skrzydło, spał, czasem tylko zaćwierkał coś przez sen. Tylko Trefl biegał i poszczekiwał, a zobaczywszy, że chłopcy odchodzą, pobiegł za nimi.

Srebrzysta tarcza księżyca stała nad jeziorem, którego powierzchnia pomarszczona była w drobne falki o świecących iskrach. Odurzająca woń siana przesycała powietrze. W parku koło wieży kwitły jaśminy i róże, a wśród ciemnego listowia migotały świetliki swą tajemniczą zielonawą jasnością. Opalowe mgiełki nad jeziorem pląsały, jak korowód zaklętych postaci, w gałęziach nadjeziornego drzewa przesłodkie tony dzwonił słowik; jakiś cudny czar bił od całej tej ziemi.

— Boże, Boże! Jakaż to cudowna ta nasza Polska... — szeptał w upojeniu Włodek.

— Cudna... — wyszeptał oczarowany Ferdek.

Weszli na szczyt wieży, wzięli się za szyje i stali tak w niemym zachwycie.

— Wspomnienia snują się, jak mgły — odezwał się koło nich głos jakiś.

Chłopcy drgnęli.

Na wystającym kawałku muru siedział chłopiec, którego nie zauważyli.

Wśród tej mistycznej tajemniczej nocy wydał się im, jak gdyby duchem czy widziadłem: poświata księżycowa kładła mu na białem czole jakiś blask niezwykły.

— Wspomnienia, tak wspomnienia! — mówił chłopiec — Gopło dawniej było dużo, dużo większe, zwano je Morzem Polskiem. W trzech kierunkach szła stąd droga wodna: przez Noteć na północ, przez Goplenicę na południe, przez Bachorzę na wschód ku Wiśle. Na wiosnę lasem masztów pokrywało się dawniej Morze Polskie...

— Czy teraz niema tylu połączeń?

— O, nie: Goplenica wyschła, wyschła i Bachorza, jeno Noteć do dziś zabiera stąd wody.

Spokojna tafla jeziora pękła: jakaś duża ryba rzuciła się, zamigotała w księżycu i wpadła w toń, budząc na powierzchni szereg coraz to większych kręgów.

Ferdek zainteresował się: — Musi tu w jeziorze być dużo ryb?

— Tak jest. Czasami trafiają się całe ich ławice, dawniej było też dużo raków, ale wyginęły. Wiele gatunków ptaków gnieździ się w nadbrzeżnych sitowiach i trzcinach.

— Czy przylatują tu strusie? — pytał Ferdek.

Włodek się uśmiechnął: — Strusie wcale nie latają, a nasz klimat dla nich zbyt chłodny.

— Mogłyby przecież na zimę odlatywać do domu—zauważył Ferdek.

— Ależ one wcale nie latają — mówiłem ci.

— To szkoda.

— Stała na wyspie siedziba książęca—mówił chłopiec— w noc ciemną napadli rycerze, zabili króla Popiela i jego rodzinę, było to właśnie w tej oto wieży...

— Rycerze? mylicie się, kolego, przecież króla Popiela myszy zjadły—sprzeczał się Ferdek.

— Czyżby lud pozwolił, aby mu monarchę myszy zjadły?—pytał z uśmiechem nieznajomy chłopiec.

— Może dawniej myszy były tej wielkości, jak dzisiaj niedźwiedzie, lub lwy?

— Nie, myszami nazywano drużyny normandzkich korsarzy, które na łodziach dostawały się w głąb lądu i tam rabowały kraj, a gdy im stawiano opór, mordowali. Tu też Popiel bronił swej stolicy, ale korsarze dopadli go tu na wyspie i zabili.

— Normandzcy kosiarze? A co oni kosili? Zdaje mi się, że to było inaczej, bo przecież Popiel otruł swoją ciotkę, czy teściową...

— Dwunastu stryjów—objaśniał Włodek.

— Dwunastu stryjów! A to ci była Popielata familja!

— Nad jeziorem mieszkał gospodarny kołodziej Piast...

— Wiem, wiem, wybrali go sobie na króla, ale gdzie to mogło być? Ja sądzę, że chyba tam, gdzie stoi teraz Lew-Orzeł.

To im przypomniało, że czas wracać do samolotu, stanęli jednak jeszcze na krawędzi wieży, aby się nacieszyć krajobrazem. Stali tak sporą chwilę, a gdy się obejrzeli, na wieży nie było nikogo.

Czy nieznajomy chłopiec odszedł, czy zniknął, nie wiadomo. Jedynie Trefl przyjaźnie kiwał ogonem i kichał koło schodków, jakby żegnając kogoś przyjacielsko.

— Podejrzana osoba — zakonkludował Ferdek — ważny taki, a blaguje o kosiarzach z Niderlandów, a nie wierzy, że Popiel otruł ciotkę, też!

14. NIEPROSZENI GOŚCIE.

Ciekawscy, otaczający samolot, rozeszli się, chłopcy z Treflem poszli na wieżę, na rozciągniętym pledzie obok aparatu spoczywał lord Ralf, a w łodzi zostali tylko Aza i Pikuś. Pikuś spał smacznie, najeżywszy piórka; wyglądał jak kłębuszek różnobarwnej bawełny.

— Hm, wygląda, jak piłeczka — mruczała Aza—bardzobym pragnęła kiedy pobawić się z nim tak, żeby zobaczyć, czy w tej piłeczce są kosteczki i czy są one mocne.

Aza nie mogła spać. Ciągle słyszała jakieś dziwne opowiadania o myszach: napad myszy, mysia wieża, króla zjadły myszy, i tak ciągle.

Takie opowiadania najuczciwszą kotkę wyprowadzą z równowagi: — zjadły króla? proszę co za śmiałość! Wartoby je ukarać srogo, bardzo srogo! Rzucać się na swego króla! — Aza była zgorszona, oburzona, sponiewierany majestat królewski żywo stawał jej przed oczyma.

Mruczała Aza coraz gniewniej, w oczach zatliły się zielonawe ognie:—zjadły króla! to zasługuje na straszną karę: schrupałabym ich z tuzin zaraz na poczekaniu! Króla zjadły! Musiały być tłuściutkie po tej królewskiej uczcie. Oh, czemuż nie wezwano Azy na pomoc! Byłby ten pan Popiel żył do dzisiejszego dnia, bo wszystkie myszy wydusiłabym co do jednej.

Aza gniewnie poruszała ogonem, mruczała coraz głośniej. Aż się Pikuś obudził, wysunął głowę z pod skrzydełka, uważnie czarnym paciorkiem popatrzył na Azę i, dla pewności, przefrunął na inny drążek, gdzie mu żadne nie groziło niebezpieczeństwo.

— Warjat, ja myślę o ukaraniu królewskich morderców, a taka figa ucieka, także coś!..

Monolog Azy przerwał jakiś dziwny szmer na skrzydłach samolotu.

Aza drgnęła, ucichła, jeno szybciej zaczęła poruszać ogonem. Oczy jej rozgorzały, skuliła się w sobie do skoku.

Szmer się powtórzył: było to coś jakby muśnięcie lekkiego ciała o skrzydła aparatu, jakby bieganie lekkich, mglistych stóp po płaszczyźnie skrzydeł.

— Myszy, jak mi mleczko miłe, myszy, myszki, myszeczki!

Aza rozumiała, że raptownym skokiem nic tu nie zrobi, więc raczej trzebaby bardzo ostrożnie wydostać się na płaszczyznę skrzydeł i grasujące tam myszy chwycić.

Zaczęła więc powoli posuwać się ku drabince, prowadzącej na górę aparatu, a choć robiła to bardzo cicho, przecież jednak Pikuś obudził się, a ujrzawszy zamierzoną wyprawę, zaświergotał:

— Aza, Aza, gdzie to Aza się wybiera?

— Bodaj ci skrzydło spuchło, pierzasty latawcze, czy to twój interes? pilnuj swego dzioba, smarkaczu.

Aza była tak przejęta, że zapomniała o swej wrodzonej dystynkcji, a wymyślała, jak straganiarka z rynku.

— Ja idę tam karcić królobójców, a on: Aza, Aza! warjat.

A warjat, znużony całodzienną lataniną, usnął ponownie, ułożywszy główkę pod skrzydełko.

— Śpi, jak kto wie co: łeb wsadzi pod skrzydło, także! Czy ja kiedy kładę głowę pod łapę, albo i Trefl, a przecież to jest bardzo mądry pies, skoro nie zaczepia uczciwej kotki, bardzo mądry. Nie tak mądry, jak on, jest pan Ferdek, bo parę razy mnie porządnie skrzyczał, ale i on nie kładzie głowy pod pachę, gdy śpi.

Tak sobie rozważając, Aza wywędrowała po drabince na górę aparatu i wyjrzała na skrzydła. Przez drogę rozmyślała, że ujrzy tam całe stadko, lub może chociaż całą rodzinę myszy, a tu tymczasem czekał ją zawód: białe płaszczyzny skrzydeł odcinały się od zieleni łąki, posrebrzone blaskiem księżyca.

Skrzydła były białe, czyste, żadnego ciemnego punkciku, któryby przypominał mysz, nie było ani śladu. Aza stanęła rozczarowana. Zaczęła uważnie rozglądać się: nic a nic. Po białym podkładzie skrzydeł pląsały tylko opalowe mgiełki, mieniąc się w promieniach księżyca.

Aza westchnęła i zamruczała niezadowolona.

— Przysięgłabym na ogon mego pradziadka, że słyszałam jakieś podejrzane szmery... ale... cyt... bodaj że słychać coś znowu... o, daję zadnią łapę w zakład, że to jest interesujące"...

Aza cała zamieniła się w słuch: szmer stawał się coraz zrozumialszym dla niej: była to rozmowa jakichś niewidzialnych istot. Aza chwytała poszczególne wyrazy, wreszcie wsłuchała się w rozmowę.

— Zawsze lubisz się wałęsać, Chochliku, do domu zapędzić cię nie można.

— Idź do licha, tyle szczęścia, ile swobody. Goplana nie rozumie tego, że nam potrzeba swobody.

— Ty jej nadużywasz, Chochliku, słusznie więc kazała mi pilnować ciebie, abyś zbytnio nie broił.

— A pan Skierka kontent, że jest moim pogromcą. Poczekaj! Jeszcze ja ci się odpłacę!

— Mój Chochło, wiesz, że muszę rad nie rad spełniać rozkazy naszej pani. Ja sam wolałbym fruwać po błękitach, niż bawić się w stróża przy tobie. Wcale to nie zabawna rzecz.

— Więc wracaj do Goplany i powiedz jej, żem uciekł, wściekł się, powiesił, czy co tam chcesz. Ta twoja opieka zabija mnie.

— Nie marudź, nie marudź, królowa jeziora kocha nas obu, jako swych dworzan, ale ty jesteś leniwy, Chochliku.

— Bo ona zamęcza mnie robotą i jeszcze jaką:

„To w puste żołędzie
Wkładać jaja motylic — to pomagać mrówkom,
Budującym stolice i drogi umiatać
Do mrownika wiodące... to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać,
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe, lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki".

— Cóż ty chcesz, to wszystko i miłe, i pożyteczne roboty.

— Dziękuję ci, ale jaką ja mam z tego korzyść? Zresztą to dopiero cząstka rocznej pracy, bo trzeba znów:

„To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki,
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Naprzekór ptasznikowi".

— Czyż to nie piękne zajęcia? Całe życie pragnąłbym tak pracować.

Aza, wsłuchując się w tę rozmowę, pomyślała sobie, że gdyby tak znaleźć te młode jaskółki, to podjęłaby się sama wykładać im budownictwo, a zwłaszcza dział o wytrzymałości materjałów.

Chochlik rzucał się ciągle:

— Nie przerywaj, to jeszcze nie koniec:

„Już to pani sroce
Ciągle trąbić do ucha naukę: nie kradnij!
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą".

Aza uważała, że coraz bardziej podoba się jej rola nauczycielki: żeby tylko spotkać tłuściutkiego wróbelka, to już onaby mu wytłumaczyła, że pięknie świegoce.

Tymczasem Chochlik szeptem zwrócił się do Skierki:

— Wiesz co, ktoś nas tu podsłuchuje.

— To nic nie szkodzi, to ta głupia kotka Aza.

— Głupia kotka? głupia kotka! Wiecie państwo, czekajże ty mgiełko, zapoznasz się ty z memi pazurkami, głupia kotka!

Aza obraziła się całkiem serjo i wyruszyła na skrzydło, by skarcić Skierkę.

Ale mgiełki żywo poruszały się po powierzchni skrzydła, przeskoczyły nad głową Azy, która zrozumiała, że nic im zrobić nie może, więc otrząsając białe łapki z chłodnej rosy, zaczęła zbierać się do odwrotu.

Tymczasem Chochlik rozpoczął zapamiętałe pląsy po powierzchni skrzydła, Skierka gonił go zajadle.

Już i chłopcy wrócili i Trefl przybiegł przywitać Azę, ale ta odwróciła się tyłem i gniewnie poruszała ogonem.

— Ho, ho, jakaś nieprzyjemność spotkała pannę Azę. Cóż tam za powody tej irytacji?

Aza spojrzała na niego zagniewanym wzrokiem:

— Pilnuj pan swego nosa — rzekła obrażona.

Trefl wzruszył ramionami, kichnął zawzięcie, potem ziewnął szeroko, ułożył się u nóg Ferdka, który już chrapał, i wszyscy zasnęli szczęśliwie.

Perliste rosy lśniły się na skrzydłach Lwa-Orła. Długo jeszcze w noc słychać było dziwne szelesty i szmery mgiełek, tańczących po rosie, wreszcie i to ustało.

Nad Gopłem była cisza.

15. JAK KUJAWY, TO KUJAWY!

Ledwie, ledwie szarzało, gdy lord Ralf puścił w ruch śmigi aparatu. Lew-Orzeł drgnął i posłusznie uniósł się w powietrze po linji pionowej, jak podnosi się skowronek w słoneczny poranek.

Załoga samolotu spała jeszcze i byłaby spała dłużej jeszcze, gdyby nie Pikuś, który zbudzony ruchem Lwa-Orła, rozpoczął swą pieśń poranną, a dźwięczał nią coraz głośniej, aż Aza też się przecknęła i zaczęła mruczeć swe poranne pacierze.

Wreszcie otworzył oczy Trefl, ziewnął, przeciągnął się, daleko wystawiając przednie łapy, a wginając grzbiet, a potem podszedł do swego pana i z wielką tkliwością oblizał mu nos i policzki.

Ferdek zerwał się wystraszony, przetarł oczy, trącił w bok Włodka.

— Te, wstawajno, bo ten Bury gdzieś nas wiezie prosto do nieba.

Włodek wstał, wyjrzał za galerję łodzi. Nie było widać nic, prócz morza chmur, które przewalały się pod samolotem.

— Gdzie my u licha jesteśmy? Panie lord, dokąd my pędzimy?

— W górę.

— Dużom się dowiedział. Na księżyc?

— Może.

— Może, może, też odpowiedź! Panie lord ja nie chcę na księżyc, bo tam djabli posadzili czarodzieja Twardowskiego.

Na dźwięk tego nazwiska na skrzydłach znów słychać było podejrzany szmer. Aza zerknęła okiem raz i drugi, a Pikuś wyfrunął w górę i przysiadł na płaszczyźnie skrzydła.

Dochodził stamtąd jego wrzaskliwy świegot, jak gdyby sprzeczka, pytania, odpowiedzi, wreszcie sfrunął i na całe gardło rozpoczął wrzeszczeć:

— Hi, hi, hi, a to ci dopierrrro aferrrra! (Pikuś lubił śpiewać przez kilka r). Fiu, fiu! Pospali się obaj, hi, hi, hi!

— Któż taki? — niby zupełnie obojętnie zamruczała Aza.

— Obaj, baj, baj! Skierrrka i Chochlik, lik, lik.

— Czy to ci dworzanie królowej Noteci?

— Ależ nie Noteci, ci, ci, ci, lecz Goplany, krrrólowej Gopła.

— No, to sobie odfruną — filozoficznie zauważył Trefl.

— Ale gdzież tam: siedzą i płaczą obaj, nawet się pobili, li, li, li! Mówią, że z takiej wysokości, jak nasz Medorrr, czy tam Milorrrd się wzbił, żaden Chochlik nie sfrrrunie na ziemię, hi, hi, hi!

— Biedne duszki — westchnęła Aza, — radabym je zobaczyć, czy są dosyć tłuste?

— Hi, hi, hi! Fiu, fiu, fiu!

— Warjat: hi, hi, fiu, fiu. Ma się uczciwa kotka dowiedzieć co z tego.

— No, bo też kotka jest śmieszna, hi, hi, hi! Przecież takie duszki to są z mgły.

— Z mgły? Takie zimne i mokre? Takie jakby nic?

— Tak, tak, nic, nic, nic, fiu, fiu, fiu!

Trefla tak zaciekawiła opowieść Pikusia, że chciał sam zobaczyć Chochlika i Skierkę, zaczął się nawet wspinać po drabinie, ale że to nie jest psia robota, więc skomlił jeno żałośnie. Rzekł wreszcie do Azy: idź no, rozmów się z nimi.

— Eh, będę gadać do mgły? Nie mam zdrowia.

— No, to ty Pikuś leć i pogadaj z nimi, może im czego potrzeba. Są tu pączki, ciastka, mleczko, owoce i jagódki.

— Chyba przecież mleczkiem i ciastkami nie karmi się mgły — zauważyła Aza, oblizując się przytem.

Ale Pikuś, nie słuchając sprzeczki przyjaciół, pofrunął na skrzydło Lwa-Orła.

— Czegoż beczycie, płaksy? Kasztan Bury wzbił się wysoko, to później i zjedzie nisko, a wtedy pofrrrruniecie do siebie.

— Ale, do siebie, my przecież krążymy tylko koło Gopła, innych dróg nie znamy.

— Wybawi was Goplana.

— Jej władza sięga tylko do nadgoplańskiej okolicy — tłumaczył Pikusiowi Skierka.

— Ja bo już dosyć mam tej wiedźmy.

— Wstydź się, Chochliku, tak brzydko mówisz o królowej...

— Wiedźma, wiedźma, chuda, sucha wiedźma. Jej rządy już mi kością w gardle stanęły:

„Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem".

— Niedobry Chochło, czyż nie pamiętasz przebudzenia się pięknej Goplany?

„lekka i gibka
Skoczyła z wody, jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza,
Ach czarowna!"

— Tere, fere! Czarowna! Czarownica, powiedz raczej! Wolę na tym cudaku leżeć na jakiejś białej szmacie, niż np. malować pawie, co mi często nasza jędza kazała robić.

— Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku.

— No, no, moi kochani, zaprzestańcie tej kłótni, mnie się zdaje, że niema żadnej rrrady. Musicie zostać na tym samolocie. Niech wam się zdaje, że was zabrrrał Anglopol, czy tam Lew-Orzeł.

Pikuś sfrunął i wyśpiewał wszystko swoim przyjaciołom, śpiewał potem i lordowi, i Włodkowi, nakrzyczał w samo ucho Ferdkowi, ale oni nic nie rozumieli, a Ferdek nawet odpędził go chustką i krzyknął: „zwarjowałeś, czy co?"

Lord tymczasem zaczął zniżać lot aparatu i przyglądać się ziemi.

Słały się tu jasno-zielone pola buraczane, szumiały niwy pozłacane pszenicą, a żyzne łany staczały się ku zwierciadlanej tafli jezior.

— Patrzno — mówił Ferdek, — toć tu tyle jezior, co koło Ełku, jeno że kraj o wiele bogatszy i jakieś czerwone kominy gęsto strzelają ku niebu. Co to za ziemia, milordzie?

— Polska.

— Masz, myślałem, że Argentyna. Powiedział—mruczał Ferdek,—ale jaka to część, jaka prowincja Polski?—dodał głośno.

— Kujawy, bogate, żyzne, urodzajne Kujawy.

— Wisła, Wisła—zawołał uradowany Włodek.

Jakoż rzeczywiście była to graniczna wstęga kujawskich ziem: Wisła.

Nad rzeką stało duże ładne miasto, kilka kościołów wznosiło się nad dachami kamienic, a w pobliżu rzeki strzelały ku górze poważne wysokie czerwone wieże wspaniałej katedry.

— To chyba Włocławek? — zapytał Włodek przyglądającego się mapie lorda.

— Oh, yes, stolica Kujaw. Ogromny tu był handel zbożem, a teraz cukrem.

— Ah, to te kominy, co widać po okolicy, to cukrownie—zawołał Ferdek.

— Kujawy to kraina bagiennego czarnoziemu, nadzwyczaj żyznego, a że na takiej ziemi najlepiej udają się buraki cukrowe, więc też większą część pól zasadzają burakami.

— Tu we Włocławku podobno mieszka moja babcia Walentowa, bardzo poważna osoba, ma stragan na rynku — mówił Ferdek.

— Niestety, nie będziesz mógł odwiedzić babci, bo musimy wracać.

Po tych słowach lord Ralf skierował aparat na zachód, przelecieli nad Brześciem Kujawskim, a Chochlik na skrzydle rozkoszował się smakiem cukru z tylu cukrowni, lecz

Lew-Orzeł skierował znów na północny wschód i duszki poczuły smak soli w powietrzu.

— Co to jest, co to jest?—pytał Chochlik swego towarzysza.—Czy to już morze?

— Eh, skądże znowu? Pewno tu gdzieś coś gotują, a wiesz, że wtedy czuć smak soli.

— Chybaby musieli gotować dla paru pułków wojska.

W tej chwili smak solny doszedł do największego napięcia, a w samolocie usłyszano z dołu głosy dziatwy:

— O jej, jaki oglomny siamolot! Cimaj sie, cimaj sie, bo cie polwie.

— Uciekajcie dzieci, uciekajcie, bo jeszcze będzie nieszczęście! A mówiłam pani doktorowej, żeby nie chodzić z dziećmi pod tężnie!

— Aha, to tężnie, to widać jest Ciechocinek — mówił Ferdek,—znałem jednego Witka, co tu przyjeżdżał do słonych kąpieli.

— Do słonych kąpieli? Sto razy wolę oblizać sobie całe futerko, niż wchodzić do jakiejś słonej kąpieli, brrr, — mruczała Aza.

— Nie mylisz się, to Ciechocinek. Oto tu tężnie, tu warzelnia, tu łazienki, tu kościół, a tu park. Boże, co tu dzieciarni łazi!

Jakoż po parku roiło się od dzieciarni, na boiskach pełno jej było. Wszystko to bawiło się doskonale. Ale wszakże bywają różne dzieci: i tu jeden chłopczyk (nie powiem jego nazwiska) zaczął biec za samolotem, który sunął tuż nad drzewami, dojrzał Trefla i zaczął go drażnić: „wrrr, wrrr, wrr..."

Trefl zgniewał się, zaczął szczekać, Aza miauczała, duszki chichotały, a Pikuś sfrunął przed sam nos niegrzecznego chłopca i zaśpiewał mu:

— Pili, pili, niegrzeczni byli, guz, guz, guz, guz, łobuz mały, fit, fit, fit.

Niegrzeczny chłopiec zawstydził się tych przymówek, czy też posłuchał głosu mamy, wołającej: Tadziu, bądź grzeczny, i przestał gonić samolot.

Zresztą Lew-Orzeł wzniósł się wysoko nad chmury i pożeglował w stronę swego hangaru pod Gdynią.

— No, widzisz Ferdek — mówił Włodek,— zobaczyliśmy Kujawy z Gopłem, Kruszwicą, Włocławkiem i Ciechocinkiem. Tyle bogactwa: te buraczane łany, tyle cukrowni, cóż ci się najwięcej podobało?

— Łosoś kanadyjski w marynacie, cośmy go dziś jedli.

16. W KURPIOWSKIEJ PUSZCZY.

Lot nad Kujawami przekonał, że Lew-Orzeł umie poruszać się sprawnie, że obliczenia lorda Ralfa były doskonałe, a samolot jest bez zarzutu.

To też postanowiono opuścić Gdynię i ruszyć w drogę. Lord Ralf napisał czuły list do ciotki, lady Worthing: „wyjeżdżam", a w parę dni otrzymał serdeczną odpowiedź: „all right".

Po tej wymianie rodzinnych serdeczności lord wyznaczył datę wyjazdu.

Był to piękny lipcowy poranek, gdy śmigi Lwa-Orła zaczęły rzetelnie pracować. Lord siedział u steru, chłopcy przesyłali pożegnalne ukłony w stronę starego Trzebiatowskiego, który ze łzami w oczach żegnał załogę samolotu. Trefl skomlił żałośnie, Pikuś śpiewał pieśń pożegnania, jedna tylko Aza, zwinięta w kłębek, spała obojętna. O Skierce i Chochliku zapomniano zupełnie.

Lord oznajmił chłopcom, że samolot będzie prowadził wolnym lotem, ażeby można dobrze przyjrzeć się ziemi, miastom i wsiom.

Lew-Orzeł wolno i majestatycznie sunął ku wschodowi. Przesunęły się pod nim domy Gdańska, koło ratuszowej wieży Ferdek krzyknął przerażony:

— Na prawo, lordzie, bo zawadzimy!

Lord Ralf roześmiał się, skręcił bieg aparatu, zakreślając dookoła złocistej postaci Zygmunta Augusta prawidłowe koło. Przesunął się pod samolotem Tczew, wreszcie posępne wieże i baszty Malborga.

Lew-Orzeł unosił się nad krajem lesistym i jeziorzystym.

— Dla Boga! A przecież to te mazurskie ziemie, com ci, Włodku, opowiadał o nich.

— No tak, to Mazowsze pruskie.

Lecieli właśnie nad olbrzymiem jeziorem, o wiele szerszem od Gopła.

— To Śniardwy — mówił lord, — największe jezioro na Pojezierzu, łączy się ono wąskim przesmykiem z jeziorem Mamry, i na tym przesmyku stoi właśnie miasto Łeck, ważna forteca.

W dole widać było czerwone bastjony i forty.

Lord przyśpieszył lot maszyny i wkrótce tafla jeziora Śniardwy zginęła im z oczu. Dzień się już miał ku schyłkowi, lecieli nad jakiemiś puszczami. Na dużej polanie wśród lasu Lew-Orzeł wylądował.

Pierwszy wyskoczył z łodzi Trefl, który, węsząc i szczekając, biegał dookoła. Lecz dookoła była pustka, żadnych domów, żadnych siedzib ludzkich nie było widać. Pikuś wesoły fruwał z gałęzi na gałąź, mącąc ciszę swoim śpiewem.

— Mam tu na mapie drogę do wsi—mówił lord.—Niech Ferdek pójdzie tam i kupi mleka, oraz rozpyta się, czy możnaby gdzieś wygodniej się przespać.

Ferdek z Treflem ruszyli szukać wioski, a jednocześnie od skrzydeł Lwa-Orła oderwały się dwie mgiełki i zginęły wśród gałęzi. To Skierka z Chochlikiem polecieli szukać sobie miodu, bo Chochlik dawno już nudził przyjaciela, że tu gdzieś pachnie miód.

Trefl biegł przed swoim panem, obwąchując drzewa i trawę przed sobą. W pewnym momencie zaczął zajadle szczekać i rzucił się w bok od ścieżki. Ferdek pobiegł za nim, ale tylko mignęła mu się żółta kita lisia. Właściciel kity znikł pod korzeniami sosny w głębokiej swej jamie.

Trefl uparcie szczekał, darł pazurami ziemię u wejścia do nory, ale lis bezpiecznie siedział w swym podziemnym pałacu, lub może gdzieś już się wysunął innem wyjściem, bo przezorny i sprytny zwierz robi ich zwykle kilka.

Gonitwa za lisem zabrała trochę czasu, znalezienie ścieżki też, gdy wreszcie Ferdek zobaczył pierwsze domy wioski, było już dobrze szaro, a z kominów szły dymy ognisk, przy których gospodynie warzyły wieczerzę.

Wieś kurpiowska.

Ferdek był kontent, że już trafił do wsi, ale zaraz u wstępu psy wiejskie opadły Trefla, zaczęła się kłótnia, szczekanie, jakiś kundys złapał gościa za kark, Ferdek go bronił, psy rzuciły się i ku niemu, a chłopak był bezbronny.

Na szczęście wybiegła z chaty gospodyni, kundysa przywołała, inne psy rozpędziła, a Ferdka, trzymającego Trefla na rękach, zaprosiła do chaty.

Chata była drewniana, ale duża, upiększona wyrzynanemi z deski ozdobami, pobita gontem. Znać było, że tu w puszczy łatwiej o drzewo, niż o inny materjał. Nad dachem przy szczytowych ścianach widniały skrzyżowane listwy, wycięte w kształt końskich łbów.

Wewnątrz izba była czysta i schludna, o dużych sześcioszybowych oknach.

Ferdek grzecznie powiedział: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", na co chórem odpowiedziano mu: „Na wieki, wieków, Amen".

Zdawało się Ferdkowi, że mieszkańcy chaty wymawiali „na zieki zieków", więc też spytał na wstępie:

— Jesteście tu przecież Polacy".

— Nie, mój chłopcze, nie—odpowiedziano mu,—Polacy to są tam, gdzie są pola. A tu jest tylko puszcza, więc my nie Polaki, jeno Puszczaki.

— Puszczaki? Jeszczem też o takim narodzie nie słyszał.

— To jeno starzy tak mówią — odezwała się dziewczyna, córka gospodarza, — powiadał nauczyciel w szkole, że Puszczaki to tak samo jest polski naród, jako na ten przykład Mazury, lub Kaszuby, lub Kujawiaki, czy Krakowiaki, czy Podlasiaki, to przecie wszystko jeden polski naród.

— Polski my naród, polski lud, królewski szczep Piastowy—powiedział Ferdek.

— No, to właśnie tak, ale my tu się nazywamy Kurpie.

— Aha, Kurpie, wiem, słyszałem, dzielni u was strzelcy, a właśnie przed niedawnym czasem widziałem tęgiego lisa.

— Jaguś, to pewno ten, co zjadł ci onegdaj gąskę.

— Pewno, że ten. O, na gąski to liszka łakoma.

Tymczasem gospodyni postawiła na stole chleb i złocisty miód.

— Jedzcie na zdrowie — mówiła do Ferdka, — a skąd Pan Bóg prowadzi?

— Z nieba.

— Z nieba? Wieśniacy obejrzeli się po sobie.

— Tak, przyfrunąłem w łodzi Lwa-Orła.

— Wesoły jesteś, mój chłopcze, — mówił stary gospodarz—jakoż to w łodzi można fruwać? Albo czy lew z orłem może latać po niebie?

Ferdek wpadł w zapał:

— Wszystko obmyślił lord Kasztan Bury. On jest ojcem Lwa-Orła, a jego matka była Polką.

— Matka Lwa-Orła?

— Nie, matka Burego kasztana.

— My też mamy kasztana — zauważył malutki chłopuś gospodarzy.

— Ale mój Kasztan Bury fruwa po powietrzu.

— A nasz ciągnie wóz do lasu—prawił malutki.

— A, to pewno przyjechaliście tą wielką maszyną, co ją widzieliśmy wieczorem na niebie?

— Właśnie mówię, że przyjechałem z nieba.

— Wasza maszyna spadła gdzieś do lasu, patrzyliśmy na to.

— Lew-Orzeł, tak się nazywa nasz aparat, wylądował na polanie wśród lasu.

— Aha, to na Chętnikowej polanie.

— Może. Ale teraz mam do was prośbę: lord chce kupić mleka na kolację.

— O, mleka sprzedać nie mogę — mówiła gospodyni,— już po zachodzie słońca, to już mleka sprzedawać nie można.

— Czemuż to? — pytał zdziwiony Ferdek.

— Tak u nas ludzie mówią — objaśniała dziewczyna,— że kto sprzedaje mleko po zachodzie słońca, to mleko go opuści.

— Więc mój pan, lord Kasztan Bury, nie będzie miał mleka na kolację?

— Mogę dać podróżnemu, ale sprzedać nie mogę.

— No, to już dajcie, moja gosposiu, dajcie bo i on, ten mój lord, i Aza bardzo są łakomi na mleko.

— Aza to lordzina?

— Nie, to kotka biała z czarną łatką na nosie.

— A w cóż weźmiecie mleko?

— W kieszeń.

— To przecie wyleci.

— Będę mocno trzymał.

— Jakoż to myślicie?

— Bardzo prosto: nalejecie mleka do butelki, ja butelkę wsadzę w kieszeń i będę mocno trzymał.

— Aha, sprawiedliwie, tak będzie dobrze. Ale co zrobicie z butelką, jak ona wróci do nas?

— To ja ich odprowadzę, matusiu, i butelkę przyniosę — zawołała dziewczyna.

— Jeno żebyś nie pobłądziła — ostrzegała matka.

— O Jezu! Przecięć ja na Chętnikową polanę chodzę czasem i parę razy na dzień.

Ferdek z Jadwisią powędrowali do samolotu. Trefl biegł przodem, ale ginął w ciemności lasu. Zato Jadwisia szła śmiało przodem, a Ferdek dążył za nią.

— Jeno się nie obalcie — ostrzegała mała,—bo zbijecie butelkę, i tyle.

— Nie, nie, butelki nie zbiję, ale za swój łeb to nie ręczę... la Boga! ktoś mi złapał czapkę z głowy!

— Eh, to pewno gałąź.

— A tak, ale też to ciemno w tym lesie, ciemno! Czemuż go nie oświetlacie?

— Niby lasu?

— No, juści lasu. Ulice w mieście się oświetla.

— Ulica to insza rzecz, a las to insza.

Potykając się o korzenie i zawadzając o gałęzie, dowędrował Ferdek z Jadwisią na Chętnikową polanę, gdzie połyskiwało ognisko tuż przy samolocie.

Kilka postaci rysowało się na tle ognia, a Trefl, który radośnie pobiegł witać lorda i Włodka, zaczął ujadać.

Przy ogniu siedział z lordem stary chłop puszczański, palił krótką fajeczkę i gawędził.

— Witajcie, ojcze Szymonie — wesoło pozdrowiła starego Jadwisia.

— A, to ty, mała, witajże Jadwiś, witaj.

— Przynieślim mleko — objaśniała mała.

Ferdek tymczasem przelał mleko do garnuszka i przystawił do ognia. Jadwisia postała trochę, popatrzyła, wreszcie pożegnała się i poszła z butelką do domu, a stary Szymon opowiadał dalej o kurpiowskiem życiu lordowi:

— Dawniej, panie, roiła się puszcza od dzikiego zwierza, każdy z nas był myśliwy, a że to od dziecka się przyuczał, więc strzelać umieli doskonale.

— No, przecież to jest przysłowie, o dobrym myśliwym mówią: strzela jak Kurp — wtrącił Włodek.

— Właśnie. Prócz strzelaniny po lesie, mieli Kurpie ładny zarobek z miodu: w wypróchniałych sosnach gnieździły się dzikie pszczoły, a nasi bartnicy podbierali miody, nawet podatki dla naszego króla płacili w miodzie, wosku i łupieżu.

— Co podatek z łupieżu? Na co się królowi mógł przydać łupież? — pytał zdumiony Ferdek.

— Łupieże to skóry złupione z zabitych dzikich zwierząt.

— Aha, a ja myślałem, że to taki łupież, co bywa we włosach.

— Kurpie nie tylko byli to dobrzy myśliwi, ale i rycerze doskonali. Czytałem o tem — rzekł lord Ralf.

— Tak, tak, zwłaszcza podczas wojny ze Szwedami. Szwedzi szli od morza przez nasze puszcze na Polskę. Więc Kurpie skrzyknęli się w gromady, uzbroili i dalejże bronić przejścia przez lasy. Dowodził niemi wielki bohater Stach Konwa. On to z dużym oddziałem zagrodził Szwedom drogę przy królowym moście. Ale Szwedów było więcej i broń mieli lepszą, więc pomimo lwiej odwagi i bohaterskiej walki musieli Kurpie ulec przemocy, a Konwa padł zabity. Hej, były to czasy inne niż dzisiaj.

Stary Szymon westchnął, a wszyscy zamilkli. Ogień tylko trzaskał, gdzieś daleko hukała sowa, gdzieś jeszcze dalej naszczekiwały psy, a puszcza szumiała hymn jakiś modlitewny, czy rapsod pełen chwały. Cisza była upajająca, bo poszum lasu stapiał wszystkie dźwięki w jakiś jednolity akord.

Rozmarzony Włodek patrzył na starego Szymona, jak na zasłużonego wodza jakiegoś leśnego plemienia, jakiegoś puszczańskiego ludu, co bił zwierzynę, podbierał miody, a kraju bronił śmiało i odważnie.

Wreszcie przerwał ciszę stary Szymon, który rzekł: „no, bywajcie mi zdrowi, a droga wasza niech będzie pomyśl-

ną. Dziwna, bardzo dziwna jest wasza maszyna, ale Pan Bóg dał człowiekowi rozum, aby nowe rzeczy sobie obmyślał. Zostańcie z Bogiem.

— Idźcie z Bogiem, ojcze.

Szymon odszedł i po chwili zniknął wśród gąszczu drzew, zupełnie jakby się rozpłynął w ciemności leśnej. Załoga cała pokładła się spać, a po chwili było tylko słychać chrapanie Ferdka.

Było słychać też i rozmowę na wierzchu skrzydeł:

— Alem ją zwiódł, że zupełnie pobłądziła, ha, ha, ha.

— Wcale to nie pięknie z twej strony psocić biednej dziewczynce w lesie.

— Niech siedzi w domu, nie łazi po puszczy.

— Wiesz przecie, że poprowadziła Ferdka na polanę z butelką mleka dla naszego nowego pana.

— Nowego pana? Nie uznaję żadnego pana. Moją panią była Goplana, ale tu do tej dzikiej puszczy jej władza nie sięga, więc przechodzimy obecnie bezkrólewie, mój Skierko, bezkrólewie!

— Nie znaczy to wcale, żebyś miał prawo krzywdzić małą dziewczynkę i tumanić ją po lesie. Biedactwo płakało, ledwiem ją uspokoił. Powiem ja to wszystko Goplanie, gdy powrócimy do Kruszwicy.

— To sobie wracaj sam. Mnie tu dobrze i swobodnie. Będę jeździł z tym Anglikiem po całym kraju, a po całej podróży osiądę nad innem jeziorem.

— Zobaczymy, a tymczasem i ja zostanę z tobą. Anglik jest porządny człowiek, chłopcy bardzo mili, a że ty gotówbyś im spłatać jakiegoś złośliwego figla, więc wolę czuwać nad tobą i nad nimi, żeby nie powiedziano na nas złych rzeczy.

— No, więc zostajemy razem. Dobrze.

17. W TORUNIU.

Nazajutrz rano Lew-Orzeł otrząsnął ze skrzydeł obfitą rosę i poszybował na Zieloną Puszczę, jak Kurpie nazywają swe lasy.

Lord Ralf uważnie śledził drogę na mapie, głośno mówiąc nazwy miasteczek, rzek i miast, nad któremi właśnie przelatywano.

Chłopcy, przechyleni przez poręcze łodzi, przyglądali się pięknej okolicy. Trefl dokazywał z Azą: udawał, że ją chce zagryźć, Aza odpędzała go łapką, czasem fuknęła, gdy pies zbyt bezceremonjalnie chwytał ją za puszystą skórę na grzbiecie.

— Przasnysz — mówił lord.

— Ach, Przasnysz ze swoim prastarym klasztorem — odezwał się Włodek.

Lecz już Lew-Orzeł poniósł ich szybko dalej; mijali wsie, ciche, spokojne wioski nasze, gdzie w wieńcu starych lip strzelały w górę sygnaturki kościelne, a słomiane strzechy otoczone były topolami, co broniły je od pożarów.

Mijali miasteczka zwykle biedne, ubogie, brudne, pełne cuchnących zaułków, gdzie wałęsa się trzoda i podskubane gęsi. Widać było tam czasami leniwe i brudne gromadki żydowskie, a na progach siedzące kupcowe przy tacce z paru makagigami, garstce zakurzonych wiśni, kilku bajecznie kolorowych cukierkach i butelce „kwasu".

Lord Ralf kręcił głową, wzruszał ramionami:

— Jak tu mogą ludzie żyć? — pytał.

— To też oni nie żyją, milordzie, tylko nie umierają— odrzekł Włodek.

Mijali i większe powiatowe miasta, skręcając nawet umyślnie ku nim. Tak przelecieli nad Sierpcem, Lipnem, wreszcie po dość długiej podróży nad ziemią płocką, dostrzegli duże jakieś miasto, pełne wież kościelnych i czerwonych murów, nad szeroką wspaniałą rzeką.

— Zbliżamy się do Torunia — rzekł lord.

„Toruń budowny i bogaty w cnotę,
Tam szczerych mieszczan oglądasz ochotę,
Tam pokój, tam wstyd, tam płuży uczciwość
I sprawiedliwość"

recytował Ferdek.

— To z „Flisa" Klonowicza — rzekł Włodek, — skąd ty to umiesz?

„Bógżeć pomoży wierzchności dostojna,
Ku dobrym skłonna, na zuchwałe zbrojna.
Bóg cię tu żegnaj, bo mi pilno w drogę,
Mieszkać nie mogę..."

sypał dalej Ferdek Minoga.

— Ferdek, kto cię tego nauczył?

— A widzisz, uczony paniczu, że i ja coś umiem. Nauczyła mnie tego ciotka Wojciechowa, co właśnie tu w Toruniu mieszkała.

Lord zwolnił bieg samolotu. Z łodzi doskonale było widać rynek z ratuszem, wielkie kościoły: świętego Jana, świętego Jakóba, N. M. Panny, oraz piękne domy patrycjatu toruńskiego.

Przyglądając się rynkowi, Ferdek zauważył koło ratusza jakąś figurę, czy pomnik.

— Co to jest takiego? — zapytał.

— To pomnik Kopernika, wielkiego astronoma polskiego, który się tu urodził.

— Tu na rogu ulicy pod ratuszem?

— Ależ nie, tylko tu, w Toruniu.

— Kopernik był Polakiem? — pytał niedowierzająco Ferdek.

— Naturalnie; urodził się w Toruniu, uczył w Krakowie, a umarł w Warmji, a wszystko to Polska.

— A to podły szwab!

— Kto, Kopernik?

— Nie, tylko mój nauczyciel z Ełku, bo zawsze nam opowiadał, że największy uczony to był Kopernik, ale że był on rodowitym Niemcem.

— Oh, Niemcy zawsze tak robią: zabierają wszystkim, co tylko mogą.

— Mojej cioci Wojciechowej to zabrali konewkę i szaflik — westchnął Ferdek.

Lew-Orzeł majestatycznie krążył nad miastem, które tonęło w ogrodach i zieleni. Nad Wisłą długim szeregiem stały czerwone śpichrze, bo Toruń to ważny port zbożowy. A że miał i wielkie znaczenie strategiczne, więc otaczają go „świetne jako płomień mury" dawnej fortecy. Duży most żelazny łączy oba brzegi Wisły, a oprócz tego małe

zgrabne parowczyki przewożą ludzi z jednej strony na drugą. Całe miasto bardzo piękne dziś, jak piękne było trzysta lat temu za Klonowicza, który pisał: „wdzięczne winnice wiszą nad Wisłą, w nich żywe krynice. Ujrzysz lusthauzy i ogrody śliczne, drzewa rozliczne".

— Czy to prawda, że Toruń słynie ze swoich pierników? — pytał Ferdek.

— Tak, ma on pod tym względem ustaloną sławę — mówił lord.

— A milord jadł kiedy taki tornik pieruński... eh, te... chciałem powiedzieć piernik toruński?

— Jadłem, naturalnie.

— A, to widać prawda.

— Co prawda?

— Że Kopernik to się dlatego tak nazywał, że jak był mały, to się ciągle napierał matce „kup piernik, kup piernik", i odtąd nazywali go Kuppiernik, czyli Kopernik".

— No, Ferdku, różni różnie już wywodzili nazwisko Kopernika, ale taki wywód to dopiero ty pierwszy obmyśliłeś. Powinieneś opublikować w pismach to swoje odkrycie.

— To wymyślił Wicek Gnatek, mój przyjaciel — skromnie odparł Ferdek.

Lew-Orzeł przefrunął na drugi brzeg Wisły i szybko dążył ku zachodowi.

Na skrzydłach słychać było jakieś szmery. Aza nastawiła uszy, Pikuś przekręcał łebek i czarne swe paciorki ślepków to na dół, to na górę zwracał, wreszcie wyfrunął na skrzydło.

— Mówię ci, że zbliżamy się do Gopła; szykuj się, Chochliku, do lotu.

— Ani mi się śni. Chcesz, to skacz sobie do swojej tkliwej pani Goplany, ja ani myślę.

— Jakto, chciałżebyś ją porzucić?

— Tę wiedźmę, co mnie ciągle pędzi do roboty? Naturalnie. Poco pójdę? Każe obracać młyny, skąd woda uciekła biednemu młynarzowi.

— Ja ci nakazuję! Musisz słuchać.

— Właśnie się nie posłucham.

Sprzeczka stawała się zaognioną, Pikuś fruwał od jednego do drugiego duszka, ćwierkał, tłumaczył, ale to nic nie pomagało. Wreszcie Skierka chwycił Chochlika za rękę (właśnie przelatywano nad okolicą goplańską) i zeskoczył z samolotu, sądząc, że porwie ze sobą i Chochlika.

Ale Chochlik drugą ręką chwycił się pręta skrzydła, i Skierka zawisł w powietrzu. Wprawdzie Pikuś, który Chochlika nie lubił, potężnie dziobnął go w rękę, trzymającą pręt, ale Chochlik tak wykrzywił swój pysk i zgrzytnął zębami, aż przestraszony Pikuś przefrunął na drugie skrzydło. Tymczasem Chochlik silnie szarpnął rękę, na której wisiał Skierka, aż biedny duszek runął zwysoka na zieleń nadgoplańskich łąk, a Chochlik wdarł się wyżej i... został na samolocie.

— Hi, hi, hi, — śmiał się szyderczo — leć do tej swojej mokrej królowej. Ja zostaję z Anglikiem. No, teraz to ja sobie z tą maszyną pożartuję!

Chochlik złowrogo i przeraźliwie zaśmiał się na całe gardło. Był to śmiech tak straszny, że Pikuś struchlał z przerażenia. Sfrunął więc do łodzi, zaczął z zapałem opowiadać wszystko Azie, lecz ta przeciągnęła się i rzekła:

— Cóż to mnie obchodzi, mleko jest?

Poleciał Pikuś do Trefla i jemu całe zdarzenie wyśpiewał, ale Trefl właśnie zajęty był polowaniem na maleńkie czarne stworzonko, co go ugryzło w zadnią łapę, i na pikusiową opowieść najmniejszej nie zwracał uwagi.

Pikuś posmutniał i siadł osowiały na drążku, co zaniepokoiło Ferdka, smutek udzielił się i Włodkowi, ale lord Ralf zawołał:

— Cóżeście tak pospuszczali nosy? Czy wam nie miło oglądać tę cudną ziemię? Czy lękacie się jakich niebezpieczeństw? Chciałbym, żeby przyszły, bo wtedy człek zrywa się do walki i hartuje się. Krew mego dzielnego ojca burzy się we mnie, nie lękam się niczego.

— Ej, milordzie, bo to można w złą godzinę wymówić.

— Niema „złych godzin". Stanę do walki, gdy zajdzie potrzeba.

— Hi, hi, hi! — słychać było na płaszczyźnie skrzydła, przynajmniej Pikuś przysięgał, że słyszał.

18. U RELIKWJI ŚW. WOJCIECHA.

Jak olbrzymi ptak szybował Lew-Orzeł nad Wielkopolską. Ukazały się oczom podróżnych wspaniałe gmachy opactwa w Trzemesznie, aż wreszcie zamajaczyły sylwety katedralnych wież gnieźnieńskich. Na zielonym łęgu koło tej prymasowskiej stolicy wylądował samolot, a lord Ralf z Ferdkiem wyruszyli do miasta. Pomimo odpędzań powędrował z nimi i Trefl.

Jakież było zdziwienie Ferdka, gdy nagle Trefl podbiegł do jakiegoś chłopca, radośnie naszczekując i machając ogonem.

Ferdek się zdziwił:

— Czyżby tu mieszkała ciotka Wojciechowa ze swym synem?

Ale i chłopiec tak jakoś dziwnie popatrzył na Ferdka i rzekł przyjaźnie:

— Dzień dobry.

— Znacie się? — spytał lord Ralf.

— Nie mam rozkoszy — odparł Ferdek.

— Wspomnienia snują się jak mgły... — rzekł chłopiec.

— Czekaj, czekaj, gdzieś to słyszałem.

— Stała na wyspie siedziba książęca... — mówił nieznajomy.

— Ach! wiem już, wiem... Gopło... otrute ciotki... mysia wieża... to wy byliście wtedy na wieży?

— Ja właśnie.

— A ja myślałem, że to był duch króla Popiela, tak jakoś popielato wyglądaliście.

— Ja mieszkam stale w Kruszwicy, ale bywam bardzo często w Gnieźnie, bo tu mieszka moja ciocia.

— Ciocia? A jak jej na imię?

— Józefowa.

— Aha. To nas oprowadzicie po Gnieźnie?

— Z przyjemnością. Ale co zrobimy z pieskiem? Ach, już wiem. Zostawimy go u cioci.

Poszli tedy do pani Józefowej, zostawili tam zasmuconego Trefla, ale Ferdek nagadał mu coś do ucha, więc Trefl westchnął i machnął na wszystko ogonem.

Lord z chłopcami skierował się w stronę archikatedry. Antoś, takie bowiem miał imię chłopiec, wprowadził ich przez jedyne w Polsce, olbrzymie, odlane w bronzie drzwi, gdzie są przedstawione sceny z życia św. Wojciecha. Gdy weszli do środka, Ferdek stanął, otworzył usta, a potem rzekł tylko:

— O Jezu!

Bo rzeczywiście obraz był godzien podziwu: wysokie, wspaniałe kolumny dźwigały sklepienie, na środku stał na czterech kręconych kolumnach wspaniały baldachim, a z pod niego biła jasność srebrzysta; na białych koronnych orłach wsparta była srebrna rzeźbiona trumna ze zwłokami świętego Wojciecha, apostoła Polski. Sama postać świętego unosiła się zlekka na wieku trumny, a tę wysoce artystyczną całość orłów, trumny i świętego podtrzymywały cztery figury srebrne, prawie naturalnej wielkości, przedstawiające cztery stany narodu: chłopa, księdza, szlachcica i mieszczanina.

Dookoła kościoła biegł wieniec przepysznych kaplic z pomnikami grobowymi prymasów polskich. Pomniki te były robione przez najznakomitszych rzeźbiarzy.

Oglądali nasi przybysze kaplice, gdy z drzwi zakrystji wyszedł długi sznur księży i skierowali się do trumny świętego Wojciecha. Ustawiwszy się tam, rozpoczęli starodawny hymn pobożny, a mianowicie:

— Bogarodzico, Dziewico
Bogiem sławiona Maryjo...

— Święty Wojciech napisał ten hymn — objaśniał lord Ferdkowi.

— Aha, a co to jest hymn?

Długą godzinę i drugiej spory kawał spędzili w tumie gnieźnieńskim przybysze, podziwiając cuda tej prastarej świątyni. Wyszli wreszcie, przeszli koło pałacu prymasowskiego i skierowali się na miasto. Tu cioteczny brat Antosia przybiegł do nich z wiadomością, że Trefl uciekł z domu i zapewne pobiegł do samolotu.

— A tak go prosiłem, żeby był grzeczny i nie robił mi wstydu — westchnął Ferdek.

Jakoż po łące koło Lwa-Orła upędzał się Trefl, ujadając zaciekle. Zobaczywszy Ferdka, pobiegł do niego pędem, ale Ferdek spojrzał na niego z wyrzutem, i Trefl zawstydzony zwiesił ogon i smutny szedł koło swego pana.

Pożegnawszy miłego przewodnika, lord Ralf wezwał wszystkich do łodzi i ruszono wolno z lekkim pomyślnym wiatrem do Poznania.

Nad Poznaniem Lew-Orzeł krążył czas niejaki, zręcznie wymijając wieże, któremi najeżone jest to miasto. Zwłaszcza koło wysokiej, smukłej wieży ratuszowej zatoczył samolot przepiękne koło i poszybował nad katedrą za Wartę aż osiadł na łąkach arcybiskupich.

— Milord pójdzie zapewne zobaczyć słynną złotą kaplicę poznańskiego tumu?

— Naturalnie, pójdziemy razem, a Ferdek zostanie przy samolocie.

— Szkoda wielka, bo chciałem właśnie odwiedzić ciotkę.

— A czyż ona mieszka w Poznaniu?

— Albo ja wiem?

— No, więc pilnuj Lwa-Orła, a my pójdziemy.

Katedra poznańska stoi na wyspie w otoczeniu innych kościołów, pałaców, seminarjów, domów dla księży. Nieomal każdy gmach to pamiątka. Ale ponad wszystkie imponuje sam wspaniały budynek katedralny.

— To jeszcze fundacja Mieszka I, — mówił Włodek — prawdopodobnie musiały tu stać świątynie pogańskie, a na ich miejscu pobożny monarcha wzniósł kościół.

— Gmach przedstawia się rzeczywiście imponująco — zauważył lord Ralf.

Weszli do środka. W wielkim ołtarzu zwraca uwagę wspaniała rzeźba z białego marmuru: Pan Jezus daje klucze świętemu Piotrowi.

— Może nam pan otworzy „Złotą Kaplicę" — uprzejmie zwrócił się Włodek do zakrystjana.

— Z przyjemnością; nazywamy ją złotą albo królewską.

Gdy zakrystjan otworzył drzwi kaplicy, przybysze stanęli olśnieni: na złocistem tle rysowały się barwne postacie świętych, a w pięknej niszy stały dwa posągi królewskie.

Pomniki Mieszka I i Bolka.

— Oto pierwszy polski król Mieszko, który przyjął chrześcijaństwo i dlatego trzyma on w ręku wysoki krzyż. A obok niego stoi bohaterski syn Bolesław Chrobry, który oparł rękę na wielkim mieczu...

— To Szczerbiec — przerwał Włodek.

— Tak, Szczerbiec.

— Czy obaj królowie są pochowani pod tym pomnikiem? — zapytał lord.

— Nie, grobowiec stoi naprzeciwko.

Przeszli na drugą stronę kaplicy. Stał tam sarkofag, ciosany z kamienia, a na nim napis: Tu leżą zwłoki Mieczysława I i Bolesława Chrobrego.

Włodek był oszołomiony.

— A więc to tu, w tej kamiennej skrzyni leżą prochy tego dzielnego króla, który w jedną stronę szedł zdobywać czeską stolicę Pragę, a w drugą pędził aż pod Złotą Bramę Kijowa i tam bohaterskim swym Szczerbcem uderzał na znak zajęcia stolicy Rusi w swoje władanie.

Podszedł Włodek do lorda i silnie ścisnął go za rękę. Lord Ralf rozumiał dobrze wrażenia swego młodego towarzysza, bo kiwał potakująco głową i parę razy szepnął:

— All right, all right!

Wyjął też lord notatnik i napisał:

— Kochana mamo, widziałem dzisiaj twoich pierwszych królów.

Obejrzeli jeszcze inne kaplice, pełne bezcennych rzeźb, przepysznych pomników, obejrzeli bogaty skarbiec, a potem ruszyli koło pomnika Kochanowskiego i starożytnego kościołka N. M. Panny przez Chwaliszewo i dwa mosty na Warcie na Rynek, gdzie strzelista wieża ratuszowa żywo zaciekawiała lorda.

Te kolumny, balkony, galerje i ozdoby, które rozrzucił hojnie budowniczy włoski, splatały się w przepiękną całość. Wewnątrz sale imponowały przepychem.

Zaszli też do kościoła farnego, zbudowanego przez jezuitów razem z ich szkołami w 1705 roku. Wnętrze tego kościoła niemałe zrobiło wrażenie na podróżnych.

Przechadzka na plac Wolności, przed dawny zamek i wielki teatr zakończyła wędrówkę, musieli się zresztą śpieszyć, bo chcieli zluzować Ferdka, aby mógł poszukać swej ciotki.

Bardzo się ucieszył Ferdek, gdy mu powiedziano, że może iść na poszukiwania i z radością wołał:

— Napewno zobaczę dziś ciotkę.

Lord oglądał części składowe samolotu; wszystko było w zupełnym porządku, tylko na jednem skrzydle zauważył jak gdyby cieniutką kreskę, której przedtem nie było.

Po paru godzinach Ferdek przybiegł zdyszany.

— Widziałeś ciotkę?

— Widziałem, ale nie ciotkę, tylko małpę zieloną.

— Małpę?

— No tak, małpę, mówię chyba wyraźnie?

— Skądżeby się tu wzięła małpa?

— A ty skąd się tu wziąłeś?

— No, ja przyjechałem.

— Właśnie, małpa też przyjechała. Ale co tam małpa! Widziałem słonia i słoninę, jego małżonkę, widziałem lwa

z grzywą taką, jak cztery snopki słomy, wielbląda z trzema garbami, strusia, co miał szyję długą na pół kilometra.

— Ferdek, Ferdek, haftujesz coś...

— Macie, haftujesz. Widziałem jeszcze insze rzeczy: latające hipopotamy, białe niedźwiedzie siedziały na drzewach w gniazdkach, hiena z taką ogromną, długą szyją...

— Co ty pleciesz? To chyba żyrafa?

— A czy ja wiem, zawsze jakiś paskudny robak, może i żyrafa austrjacka, czy tam australijska. A tygrys, mówię wam, jaki straszny! No, proszę siadać! Pasiasty taki, dozorca (tygrys był pasiasty, nie dozorca) mówi: ostrożnie, bo on jest wściekły i rzuci się nawet na największe bydlę, więc nie podchodź, chłopcze, do klatki.

— No, i nie podszedłeś?

— Naturalnie, że nie. Ale, ale, jeszcze był z taką olbrzymią paszczą introligator...

— Chyba aligator?

— A, tak, tak, właśnie, introligator azjatycki z Afryki.

— Ale gdzieżeś ty to wszystko widział?

— Gdzież miałem widzieć? W ogrodzie zoologicznym.

— Poszedłeś do ciotki...

— No, tak, poszedłem szukać ciotki. Jadę tramwajem, pytam się, czy kto nie wie, gdzie jest moja ciotka? A jakiś wesoły pan powiada: pewno w ogrodzie zoologicznym. Więc myślę sobie, kto wie? I poszedłem do ogrodu; różne zwierzęta tam widziałem, ale ciotki nie było.

Lord Ralf z Włodkiem uśmieli się z Ferdkowej przygody, ale że czas już było ruszać w dalszą drogę, więc

ulokowali w łodzi nabyte zapasy i pod wieczór Lew-Orzeł wzbił się w górę.

Wszyscy byli w doskonałych humorach, tylko Pikuś jakoś niespokojnie fruwał i ćwierkał. Wzbijał się w górę, opuszczał się na dół, okazywał wyraźny niepokój.

Szarzało już, na niebie ukazywały się gwiazdy, gdy samolot lorda Ralfa przestał krążyć nad Poznaniem i poszybował ku wschodowi.

19. POLSKI MANCHESTER.

Noc była ciemna i duszna. Z ziemi dźwigały się opary i mgły, a Lew-Orzeł sunął się spokojnie bez wstrząśnień. Jednakże uważne ucho Azy schwytało jak gdyby jakiś dziwny szmer na płaszczyźnie prawego skrzydła. Ludzkie ucho nie rozróżniłoby tego szmeru, ale Aza miała nie tylko świetny wzrok swojego rodu, lecz także i doskonały słuch.

Ale Aza była obojętną i leniwą, jeżeli coś nie dotyczyło jej osobiście, a rozumowała sobie po kociemu: jeżeliby Lew-Orzeł spadł na ziemię, to kot zawsze spadnie na cztery łapy i nic mu się nie stanie.

Więc chociaż tajemniczy szmer nie ustawał, Aza zaczęła mruczeć swe wieczorne pieśni, potem ziewnęła i leniwie przymknęła swe zielone oczy, apetycznie spojrzawszy na śpiącego Pikusia.

Lord Ralf zwolnił jeszcze bardziej bieg samolotu i uważnie patrzył na igiełkę busoli.

Noc letnia trwała krótko. Dobrze już dniało, gdy samolot nadfrunął nad duże miasto, najeżone wieżami. Włodek już nie spał i pytająco spojrzał na lorda.

— Kalisz — rzekł sternik.

— Ach, to ten piękny stary gród nad Prosną, czy wiesz, milordzie, że to najstarsze miasto w Polsce?

— Czyż być może?

— Tak, 1700 lat temu pisał aleksandryjski uczony Ptolomeusz o mieście „Calisia" nad „Proną", leżącem na bursztynowym gościńcu do Bałtyku.

— A więc to niewątpliwie Kalisz?

— Tak jest. Oto wysoka wieża kolegjaty św. Józefa, to kościół św. Mikołaja, jest w nim przepiękny obraz „Zdjęcie z Krzyża", dzieło znakomitego malarza Rembrandta.

— Ale co tu wód, rzeka paru wstęgami przepasuje miasto.

— To też zowią je naszą Wenecją, a jest od Wenecji piękniejsze, ma bowiem olbrzymi i przepiękny park.

Lew-Orzeł leciał właśnie nad wielkiemi drzewami parku.

Wkrótce jednak Kalisz zaczął ginąć z widoku, rozpływać się w porannych mgłach, a wschodzące słońce oświeciło skrzydła samolotu, pędzącego nad Opatówkiem, Sieradzem, Zduńską Wolą, Łaskiem. Minęli wreszcie i Pabjanice, a wylądowali pod murami Łodzi wśród kłębów dymu, jaki walił z tysiącznych kominów fabrycznych.

— Ależ tu dym — westchnęła Aza.

Lord Ralf starannie obejrzał samolot i z podziwem zauważył, że na powierzchni prawego skrzydła zrobiła się rysa, która przepuszczała powietrze.

Spostrzeżenie to zastanowiło lorda: płaszczyzny skrzydeł zrobione były z najmocniejszego żaglowego płótna, a rysa wyglądała, jak gdyby rozmyślnie przecięta ostrem narzędziem. Kto to mógł sprawić? Do samolotu mieli dostęp tylko dwaj chłopcy i on sam.

Nie wiedząc, co myśleć o tem zdarzeniu, lord Ralf zdecydował, że trzeba będzie załatać szczelinę, i dlatego udał się z Włodkiem do miasta, aby kupić płótna.

W tym czasie zaczęły przeraźliwie gwizdać syreny fabryczne, bo pora nadeszła obiadowa. Przez bramy i furty fabryczne płynęły potoki ludzkie robotników, robotnic, chłopców i dziewcząt. Choć na ich twarzach znać było biedę, jednak wesoło pędzili z wnętrza kolosalnych gmachów fabrycznych.

Lord Ralf zaszedł do sklepu wielkiej fabryki Szajblera i zażądał najmocniejszego płótna. Jednocześnie też rozpytywał się o życie przemysłowe.

— Skąd bierzecie panowie surowce?

— Bawełnę przerabiamy głównie amerykańską: idzie ona z Nowego Orleanu do Gdańska, a stamtąd Wisłą do Warszawy i koleją do Łodzi. Czasem posiłkujemy się też bawełną z Turkiestanu, Buchary, lub Chiwy. Bawełna

azjatycka przychodzi morzem do Odesy, a stamtąd kanałami i kolejami do nas.

— A zbyt na towary?

— Obsługujemy rynki krajowe, ale dużo też wyrobów wysyłamy na wschód do Rosji, Persji, Azji Środkowej, na Syberję...

— O, aż tak daleko?

— Tak, panie, mamy własne sklepy we Władywostoku i w Porcie Artura.

— Ależ to bardzo ciekawe, czy tylko sama Łódź wytwarza tkaniny bawełniane?

— Łódź jest jak gdyby fortecą, cytadelą środkową, otoczoną wieńcem fortów i redut.

— O, wiem — przerwał Włodek — Pabjanice, Zgierz, Ozorków, Tomaszów Rawski, Zduńska Wola — to reduty i forty twierdzy łódzkiego przemysłu.

— Tak jest istotnie.

Zabrawszy płótno, wrócił lord do samolotu, gdzie Ferdek Minoga drzemał najspokojniej, mając w nogach śpiącego Trefla, a przy głowie mruczącą Azę.

Szczelina w płótnie była większa, jak gdyby szersza i dłuższa.

— Hm, — mruknął do siebie lord — wszak tu nikogo nie było prócz Ferdka. Czyżby?

Nic nie mówiąc jednak, wziął się lord do naprawy samolotu, wyprawiając obu chłopców do miasta. Pojechali oni tramwajem przez niezmiernie długą ulicę Piotrkowską, potem skręcili do pięknego parku w Helenowie, gdzie zabawili się wesoło, a gdy po dwu godzinach wrócili do samolotu, skrzydło było już naprawione.

Ferdek zaczął wesoło opowiadać o zabawach w parku Helenowa, ale lord zbył go milczeniem. Lord Ralf był jakiś surowy i sztywny, nigdy takim nie był. Chłopcy stracili humory, aż gdy przed wieczorem Lew-Orzeł podniósł się, szybując ku południowemu wschodowi, odetchnęli wszyscy. Nawet Aza przerwała swą leniwą drzemkę i mruknęła:

— Chwała Bogu, jeszcze z godzinę, a byłabym została murzynką przez ten nieznośny dym, — poczem zaczęła starannie łapką i językiem czyścić swoje białe futro.

Dziwnie zachowywał się Pikuś: siadał Ferdkowi na ramieniu i leciał na zreparowane skrzydło, znów frunął do Ferdka, znów na skrzydło, i powtarzał to po kilka razy.

Lord Ralf, patrząc na to dziwne zachowanie się Pikusia, szepnął znów:

— Czyżby?

20. W TRYBUNALSKIM GRODZIE.

Lord Ralf kierował lot aparatu w stronę Piotrkowa, jakoż przed wieczorem lądowano na polach za Budkami; cała publiczność, spacerująca w alejach na Budkach, pobiegła zobaczyć dziwną maszynę.

— Czy panowie myślą dziś tu nocować?—pytał starszy pan lorda Ralfa.

— Tak jest, chciałbym zobaczyć miasto i jego pamiątki.

— Chętnie służyć będę za przewodnika, mamy tu i ładne gmachy, i ciekawe muzeum.

— Bardzo będę panu wdzięczny, Ferdek pójdzie ze mną.

— Eh, proszę pana, ja wolę zostać przy aparacie, niech Włodek idzie.

— Nie, przy aparacie nie zostaniesz, Włodek go dopilnuje lepiej, ty pójdziesz ze mną — rzekł lord jakoś tak oschle i wyniośle, że Ferdek poczerwieniał z żalu i wstydu.

Lord widział ten rumieniec i zaczął baczniej obserwować Ferdka.

Uprzejmy przewodnik objaśniał:

— Miasto nasze nazywamy grodem trybunalskim, gdyż tu zasiadał trybunał, najwyższy sąd w dawnej Polsce. Muzeum nasze mieści się w dawnym zamku królewskim, który niegdyś był wysoki i okazały, ale gubernator rosyjski kazał go zniżyć o piętro i przez to go zeszpecił.

— Oh, naturalnie, był to czyn barbarzyński.

Zwiedzano muzeum, gdzie Ferdek chodził bez humoru, nie wiedział bowiem, o co lord ma do niego pretensję. Po muzeum zwiedzili kościoły Bernardynów i Farny, a na zakończenie poszli do Pijarów albo Jezuitów, bo i ci i ci w tych murach klasztornych kolejno przebywali.

Lordowi bardzo się gród trybunalski podobał, podziękował za uprzejmą gościnę, a na pożegnanie zapytał przewodnika:

— Widzę, że szanowny pan jest niemałym znawcą dziejów i przeszłości swej ojczyzny. Czy nie słyszał pan kiedy o zamku, którego nazwę oznaczano cyframi: *19, 14, 16, 12, 5, 13?*

— Zaraz, zaraz. Jeżeli liczba cyfr odpowiada liczbie liter, czyli nazwa składałaby się z sześciu liter, to, sądzę, że może to być Czersk albo Lublin.

— Czersk? Czy tam jest zamek?

— Jest, to bardzo starodawny gród z zamkiem książąt mazowieckich na wzgórzu.

— Zamek na wzgórzu, może być, że to jest właśnie to, czego szukam, dziękuję panu bardzo.

Gdy wrócili do samolotu, zastali wszystko w porządku.

— Dziękuję ci, Włodku, — rzekł lord — tobie to można wszystko powierzyć z zaufaniem.

Ferdek zrozumiał, że to znów jakaś do niego przymówka i posmutniał. Próżno Trefl chwytał go za ubranie, próżno Aza ocierała się o jego nogi, próżno Pikuś fruwał mu koło uszu. Ferdek był zgryziony i smutny.

Dotychczasowa harmonja wśród mieszkańców łodzi samolotu rozwiała się: lord wyraźnie był zagniewany na Ferdka, ten zaś był smutny i miał żal do Włodka. Ferdek nie pieścił swej menażerji, Trefl schował ogon pod siebie, Aza z niecierpliwością poruszała końcem ogona, Pikusia Ferdek odtrącił ręką, co się jeszcze nigdy nie zdarzyło, więc Pikusiowi było bardzo smutno. Wystraszony usiadł na pręcie u góry i swym czarnym paciorkiem spoglądał pytająco i ze strachem na swego pana.

Jakiś zły duch poplątał nici serdecznej przyjaźni, jakie dotychczas łączyły wszystkich w łódce samolotu. Nawet wyraźnie w ciszy nocnej słychać było jakiś przejmujący śmiech: hi, hi, hi!

Trefl zawył smutnie, Aza się zerwała, Pikuś omal nie spadł z pręta.

Coś niedobrego szykowało się w powietrzu.

21. TRAGICZNA PRZYGODA AZY DE KOCI OGON.

Przed wyruszeniem Ferdek czyścił starannie części maszyny pastą, trochę tłuczoną miałko cegłą, trochę też drobniutkim piaskiem. Oczyściwszy drągi, korby i wiązary, nasmarował je starannie, napełnił oliwiarki, szykując wszystko do odlotu.

Popołudnie było duszne i parne, czuć było nadciągającą burzę. Pomimo to lord Ralf nie chciał czekać na piotrkowskich błoniach, lecz pragnął ruszyć w drogę przed zachodem słońca.

Już tarcza słoneczna w połowie zapadła za widnokrąg, gdy śruby Lwa-Orła zadrgały, i samolot lekko uniósł się w powietrze.

Nastawiwszy ster prosto ku północy, lord strudzony położył się w hamaku, a chłopcy gawędzili cicho: Ferdek chciał się dowiedzieć od Włodka, o co lord jest na niego zagniewany, lecz Włodek, sam zmartwiony niezadowoleniem Anglika, nie umiał dać odpowiedzi Ferdkowi.

W drugim końcu łodzi szeptała coś Aza z Treflem.

— Sądzę, że będziemy mieli burzę; po sierści przelatują mi iskierki elektryczne — mówiła Aza.

— Twoje arystokratyczne futerko może się zapalić — śmiał się Trefl.

— Mój drogi, nie myśl, że mi dokuczysz twoim sarkazmem, do arystokracji mam pełne prawa, gdyż pochodzę z rodziny historycznej?

— Zapewne z arki Noego?

— Z arki, czy nie z arki, to takie psie ujadanie nic mnie nie obchodzi.

— Tylko bez gniewu, koteczko, tylko bez gniewu. Lepiej opowiedz mi historję swego rodu, tak lubię drzemać przy pogawędce.

— Najstarszy z moich przodków żył w epoce krucjat...

— Czego?

— Krucjat, krucjat, mój kochany. Był on ulubionym kotem Ryszarda Lwie Serce, a nazywał się Mruczysław de Koci Ogon. Potem wziął go do siebie Godfryd de Bouillon, i od tego czasu cała nasza rodzina bardzo lubi buljon.

— No, buljonem to i ja nie gardzę, a choćby i kostkę jaką też lubię schrupać. Czy Godfryd pochodził z Pułtuska?

— Fi donc! to był król jerozolimski.

— W Pułtusku też jest dużo mieszkańców jerozolimskich, a jeden Gotfryd ma sklepik z włoszczyzną.

— Taka psia morda nic się nie zna na wysokiej genealogji. Po skończonych krucjatach Mruczysław przybył do Polski za króla Stefana Jagiellończyka.

— Co prawda, to nie słyszałem o takim.

— Cóż taki głupi pies mógł słyszeć! Co innego ja, która pobierałam edukację na pensji, gdzie byłam ulubioną kotką damy klasowej.

— Więc cóż się stało na dworze króla Stefana?

— Był on żonaty z Barbarą Radziwiłłówną...

— Aza, Aza, ty coś kręcisz?

— Ja? mój drogi, na naszej pensji nauki stały bardzo wysoko, nie przerywaj więc, lecz słuchaj spokojnie pięknej historji rodu Kocich Ogonów. Otóż królowa Barbara oddała moją ciotkę Gryzomirę swojej przyjaciółce Zofji Leszczyńskiej...

— Chyba Marji?

— Ona... na drugie imię miała Zofja.

— Aha!

— Gryzomira wyszła za mąż za Myszołapa de Koci Ogon, ulubionego kota ks. Piramidowicza...

— Czy nie Piramowicza?

— No, to przecież wszystko jedno. Pojechali oni na emigrację do Argentyny, wiesz, zaraz na lewo od Hiszpanji.

— Wiem, wiem, tam ich zjadły pumy, których nie brak w Argentynie.

— Właśnie, że nie. Ale prezydent Argentyny Don Cygario Maravilla de Cholera Floras całą rodzinę Kocich Ogonów wysłał do swej siostry, która wyszła za angielskiego lorda z Neapolu w Indjach.

— Ojej, ojej, Azo! Twoja głęboka nauka zdumiewa mnie!

— Spodziewam się, ukończyłam na pensji trzy klasy, bo potem mnie wyrzucono. Mój drogi, intrygi, wszędzie intrygi: oskarżyły mnie służące, że wypiłam pensjonarkom

mleko. Czarna zawiść! One same wypijały, jak rudą mysz kocham, a spędzały na mnie. Raz i drugi...

— I trzeci, i piąty...

— Dostałam po futrze, więc myślę sobie: popsują mi zupełnie mój książęcy płaszcz po przodkach...

— Kocich Ogonach...

— Właśnie. Zabrałam się więc i poszłam. Zupełnie dobrowolnie, żebym tak tłustej myszy nie oglądała, zupełnie dobrowolnie. Robiono plotki, że mnie wypędzono z pensji. Mnie, uważasz... Azę de Koci Ogon! Ale to wszystko plotki, jak to zwykle na pensji.

Tu Aza westchnęła, westchnął i Trefl, aż się Pikuś obudził i pofrunął na skrzydło.

— Głupie ptaszyszko! Myśli, że się kto łakomi na niego. Także coś! Żeby mi dawali spodeczek śmietanki, nie zagryzłabym takiego krzykacza, chyba tak, dla żartów.

— Ładne żarty! Ale cóż po wypędzeniu... t. j. chciałem powiedzieć po opuszczeniu pensji?

— Idę przez ulicę i miauczę żałośnie. Aż tu idzie jakiś chłopczyna, ot mizerota...

— Pan Ferdek?

— Właśnie. Woła na mnie: kci, kci, kci. Więc choć wyglądał marnie i daleko mu było do damy klasowej, podeszłam do niego i wzięłam go pod swoją opiekę.

— To chyba on ciebie wziął w opiekę?

— On? mój drogi, on sam nie miał co jeść. Jeżeli skąd wystarał się trochę mleka, albo chleba, to ja za niego zjadałam.

— No, nie masz się czem chwalić. To wcale nie pięknie z twojej strony.

— Psie rozumowanie: dla niego to było za mało, a delikatna kotka musi przecież o sobie pamiętać. Co on tam robi tak długo?

— Ferdek?

— Nie, Pikuś. Pójdę zobaczyć.

— Lepiej, żebyś nie chodziła. Zaczyna się burza, już pierwsze grzmoty słychać, na taki czas trudno człowieka wypędzić na dwór.

— Właśnie boję się o krzykacza, żeby mu się nie stała krzywda.

Pomimo napominań Trefla Aza wdrapała się na skrzydło samolotu, ale Pikusia nie zobaczyła. Dopiero przy świetle błyskawicy zobaczyła ptaszka, siedzącego na samej krawędzi skrzydła. Błyskawica trwała mgnienie oka, więc ptaszek jeno mignął przed Azą, nawet nie była pewną, czy to Pikuś, czy jakiś inny.

Ciemność zaległa, nawet kocie oczy Azy nie mogły nic rozróżnić, ale ptaszek zaczął właśnie śpiewać i kotka szła za jego głosem. Wprawdzie śpiew wydawał się jej jakiś inny niż Pikusia, jakiś grubszy i trochę fałszywy.

— Biedny Pikuś, pewnie się zakatarzył i tak mu w gardziołku skrzypi. Biedne gardziołko! Gdyby tak można dobrze je schwycić...

Śpiew brzmiał ciągle, Aza wolno i cicho pełzała ku niemu, wreszcie obliczyła sobie, że teraz jednym skokiem dopadnie ofiarę. Wygięła się w łuk i dała susa...

Łapy jej trafiły w próżnię, i Aza de Koci Ogon runęła z samolotu na ziemię.

Na skrzydle śpiew zamienił się w przeraźliwe: hi, hi, hi!

22. JANKIEL HARMIDER I TYGRYS.

Z jarmarku w Błoniu wracał właśnie do Warszawy Jankiel Harmider, wioząc trochę kurcząt, pół kopy jaj i parę funtów masła. Burza się zaczynała, więc Harmider podcinał konia swej dwukołowej biedki i rozmawiał sobie:

— Poco potrzebuje być taka burza? Żeby kurczęty zmokli, a jajka się potłukli, czy co?

Jeden, drugi grzmot, jedna, druga błyskawica, a w jej blasku Jankiel zobaczył na niebie coś dziwnego: ptak nie ptak, samolot nie samolot, coś okropnego w każdym razie.

— Co to potrzebuje być takiego? Czy wrone, czy indyczkie, czy insze bydlę?

Wtem przeraźliwy grzmot wstrząsnął powietrzem, a z nieba spadło coś Harmiderowi na kark i okrutnie wrzasło, a pazurami przejechało mu po głowie i karku.

— Gewałt! gewałt! — wrzeszczał wystraszony handlarz, zacinając w przerażeniu konia. Stara szkapa poniosła się, jak szalona. Coś, co spadło na Jankla, trzymało się go szponami, a Jankiel nie śmiał nawet się obejrzeć, aby nie zobaczyć straszliwego potwora.

Już się ukazywały światła pierwszych domków na szosie wolskiej, a po wyboistych jej kamieniach, jak wóz jakiś zaczarowany, pędziła bieda z wystraszonym Harmiderem, na którego karku siedział przerażający potwór.

Wtem biedka uderzyła o kamień, koszyk z jajkami wypadł na drogę, Jankiel ledwie się utrzymał na siedzeniu, ale zato potwór gdzieś się odczepił i zniknął. Zniknęło też i jedno kurczę, które przeraźliwie wrzasnęło.

Gdy Jankiel wrócił blady i drżący do domu, jego żona poradziła mu, żeby dał znać do milicji i do gazet.

Milicja spisała sześć łokci protokółu, głównie zwracając uwagę na to, czy Harmider miał paszport i jak na imię było jego ojcu, a w gazecie ukazał się wieczorem artykuł pod tytułem

Napad tygrysa pod Błoniem. Artykuł brzmiał:

„Podczas wczorajszej burzy na powracającego do stolicy obywatela Jankla Harmidera rzucił się tygrys. Było to zwierzę wielkości cielęcia w pasy czarne z białem. Zatopiwszy szpony w kark napadniętego, zwierzę dojechało do przedmieścia Koło, gdzie znikło. Bliższe szczegóły tak niezwykłego wypadku podamy w wydaniu porannem".

Cała Wola była poruszona wypadkiem, do Jankla schodzili się znajomi i nieznajomi, aby dowiedzieć się szczegółów okropnego zdarzenia. Otrzymane wiadomości roznoszono dalej.

— O rety, proszę pani — mówiła Anielka do panny Bronisławy — ten tygrys, co zeskoczył z nieba na handlarza, zrobił mu na karku osiem ran takich, że w każdą można włożyć po trzy pięści. Zjadł mu też dwanaście kurcząt i wiązkę marchwi.

Wydanie poranne gazety nowe dodawało szczegóły: „Tygrys, który napadł obywatela Harmidera, zeskoczył na niego z samolotu, w którym księżniczka Savitri, córka Maharadży z Nepalu, odbywa podróż naokoło świata. Było to jej ulubione zwierzę za którego znalezienie daje 10.000 rupij (rupja = trzy złote groszy piętnaście, p. red.). Dla znalazcy otwiera się droga do zarobku".

Dopieroż to się zaczęło szukanie tygrysa po całej Woli. Niektórzy widzieli go na własne oczy, jak przebiegł przez Karolkową, a jakiś obcy, dziwny pan wołał na niego: „Nero". Inni zaklinali się, że tygrys frunął na Młynarską i usiadł na gnieździe na starej topoli. (Niewierni sprzeczali się, że to była wrona nie tygrys). Stara Kornacka przysięgała, że widziała go w tramwaju, a jej kum, stróż z Dworskiej, słyszał od jednej pani, której mówiła przekupka, że słyszała od gałganiarki, jakoby pan dyrektor trzymał go uwiązanego w kurniku, a złapał go na jabłkach w sadzie koło fabryki, słowem, że Wola z tygrysa zrobiła historji więcej, niż Szeherezada w swoich 1001 nocach.

23. STRASZNY WYPADEK.

Nim jeszcze Aza spadła z samolotu, już wyczuwało się, że śruby maszyn pracują nieprawidłowo: jakiś podejrzany szmer dawał się zauważyć gdzieś koło prawej śmigi, a oś jej zaczęła się silnie nagrzewać.

Lord Ralf spał w hamaku; Włodek oparł się o poręcz i patrzył w ciemną głębię nocy. Czasem blask błyskawicy ukazywał mu w sino-krwawych łunach równy mazowiecki

krajobraz, pocięty jedynie szeregami przydrożnych wierzb.

Nad maszynami czuwał Ferdek, ale, że był zamyślony i smutny, więc niezbyt zwracał uwagę na poszczególne części, które przecież działały zawsze tak znakomicie i bez zarzutu.

Do stóp Ferdka niespodzianie zaczął się tulić Trefl, skomląc żałośnie. Ferdek chciał go pogłaskać i wypadkiem dotknął ręką do blachy nad osią. Poczuł w ręku raptowny ból: blacha była rozpalona, Ferdek oparzył się.

Krzyknął też zaraz na Włodka:

— Te, słuchaj, coś się dzieje.

— Cóż takiego?

— Blacha nad osią gorąca, chyba oś się zaciera?

— Ależ, co znowu, maszyny chodzą jak zegarek.

— Sprawiedliwie ci mówię.

Włodek chciał spróbować ręką, czy blacha się rzeczywiście rozgrzała, lecz Ferdek odciągnął mu rękę, wołając:

— Oparzysz się, uważaj.

Tymczasem Lew-Orzeł nadfrunął nad wielkie miasto, tonące w powodzi świateł.

— Warszawa — rzekł Włodek

— Ale, nie gadaj — zawołał Ferdek.

Samolot leciał nad dachami domów miejskich; koło prawej śmigi słychać było zgrzyt, jaki wydaje nienasmarowane koło na osi.

— Czyś ty aby nasmarował wszystko?

— To się wie: napełniłem oliwą wszystkie oliwiarki.

Zgrzyt stawał się coraz wyraźniejszy, samolot unosił się nad stalową smugą Wisły, pociętą pasami odbitych w wodzie latarń.

Nagle Lew-Orzeł zaczął się nienaturalnie chwiać w powietrzu i lekko ale stale przechylał się bokiem.

— Obudź lorda — zawołał Włodek.

— Milordzie, jakieś nieszczęście.

— Co się dzieje? — zapytał zbudzony ze snu lord Ralf.

W tym czasie samolot, jęcząc, jak zraniony zwierz, zaczął pochylać się ku dołowi bokiem. Potężna błyskawica rozdarła ciemności. W oślepiającym blasku zarysowały się dwie wysokie gotyckie wieże.

— Święty Florjan — zawołał Włodek.

Lew-Orzeł tylko-tylko, że nie zawadził skrzydłem o kamienny krzyż na wieży. Potężny poryw wichru porwał samolot ku górze i popędził go z szaloną szybkością ku północy.

Prawa śmiga wydawała teraz nie zgrzyty, lecz jakieś przeraźliwe piski, blacha nad osią parzyła, rozpalając się do czerwoności, i nagle z piekielnym świstem śmiga wraz z częścią osi urwała się i spadła na dół...

Lew-Orzeł, jakby raniony śmiertelnie w bok, przechylił się ku lewej stronie tak gwałtownie, że wszyscy trzej podróżni spadli na żelazną poręcz łodzi.

W tej chwili drugi poryw wiatru uderzył o skrzydła samolotu z góry i niejako przybijał go do ziemi.

— Zamknij motory — krzyczał Włodek do Ferdka, lecz szum wiatru i ryk grzmotów głuszył jego głos.

Nagle Lew-Orzeł porwał się, jakby do lotu, lecz w tej samej chwili poryw wiatru zakręcił nim, jak zabawką. Samolot jęknął, zaskrzypiał, zadrżał i wreszcie runął na ziemię z łoskotem...

Pod kupą drągów, maszyn, prętów i kół rozległy się jęki i żałosne, przejmujące wycie Trefla, ale nad wszystkiem zapanował dziwny, piskliwy śmiech: hi, hi, hi!

24. POD GRUZAMI.

Na piaszczystych wydmach za brudzieńskim cmentarzem leżał powalony samolot. Świt rozświecał już pomrokę nocy. Z pod zdruzgotanych części aparatu dawał się słyszeć czasami jęk, czasami wycie psa, a nad skłębioną masą części maszyn trzepotał się niespokojnie mały barwny ptaszek.

Dookoła było pustkowie, porosłe kępami ostrych traw, piasek wilgotny po nocnej burzy leżał przybity i gładki.

Już dobrze szarzało, gdy z pod powalonej maszyny z trudem i mozołem wygrzebał się pies. Był to Trefl. Wydostał się on na wolne powietrze i zawył. Pikuś zawtórował mu żałośliwym śpiewem.

Trefl kulał na zadnią łapkę, ale pomimo tego obiegł po kilka razy dookoła leżący na ziemi samolot, próbował grzebać w piasku, aby dokopać się do wnętrza, potem postał trochę, wietrzył nosem i pobiegł wzdłuż muru cmentarnego. Pikuś pofrunął za nim.

Dobiegł Trefl, kulejąc wprawdzie, do domku dozorcy cmentarza, zaczął skrobać do drzwi, szczekać zajadle, a chwilami wyć. W tym trakcie Pikuś z wielkim hałasem i świergotem pukał w szyby małego okienka.

Niezwykły ten hałas zbudził śpiącego dozorcę.

— W imię Ojca i Syna! Co się dzieje? Pewno to dusza tego paskarza, cośmy go wczoraj chowali, tak wyje i łomoce do okna.

Narzuciwszy na siebie palto, wyszedł dozorca przed drzwi. W tej chwili Trefl rzucił się ku niemu, a Pikuś zaczął latać przed samemi oczyma, tak że dozorca przerażony chciał cofnąć się do swego domku.

Ale Trefl biegał ciągle to kawałek wzdłuż muru, to znów do dozorcy, ciągnąc go za palto, aż człowiek zrozumiał, że pies potrzebuje jego pomocy.

— Aha, toś ty mnie wzywał na pomoc? Musi jakieś nieszczęście komuś przytrafiło się po nocy... a odczepże się raz, utrapiony ptaku... czy to z tobą jest ten warjat?

Trefl szczeknął potwierdzająco i pobiegł, jak tylko mógł najprędzej na swoich trzech łapach w stronę samolotu.

Dozorca mruczał: — Wisz, jakie to mądre, choć i pies na ten przykład, a wyrozumienie swoje ma. Dobryś ty przyjaciel swego pana... la Boga! A cóż to za kupa żelastwa?—dodał, zobaczywszy Lwa-Orła.

Z pod gruzów samolotu doszły go jęki.

— To tu je twój pan?

Trefl zaszczekał i zaczął drapać piasek.

— Hale, hale, odgrzebiesz go tam! Trza iść po pomoc.

Z pod samolotu odezwał się słaby głos:

— Dobry... człowieku... ratunku...

— Juści żem nie po co innego przyszedł. Każ ty jesteś?

— Uchyl tego pręta na lewo od skrzydła, a wyjdę.

Dozorca plunął w ręce, zatarł je i dźwignął wskazany pręt.

Z trudem dźwignął się z pod pręta chłopak, stanął i znów padł na piasek.

Dozorca zapytał: — Słabyś?

— W głowie mi szumi.

— Poczekaj tu, przyniosę ci wody.

Leżał na piasku brudzieńskim Ferdek Minoga. Chłód poranny trzeźwił go, wilgoć po burzy łagodziła gorączkę. Po chwili nadbiegł dozorca, niosąc wodę i prowadząc swego syna, tęgiego młodego robotnika.

Ferdek już stał, oparty o skrzydło samolotu.

— Sameś był, czyli was więcej?

— Trzech nas jechało. Ukręciła się śmiga i spadliśmy.

— Poco latacie? Nie można chodzić po ziemi?

— To już później, ojcze, pogadamy, a teraz trzeba tamtych dwóch wyciągnąć.

Krzepko podparłszy się pod skrzydło, unieśli trochę samolot. Tuż u brzegu leżał blady lord Ralf, oddychał z trudem, ale żył.

Dozorca z synem wyciągnęli go na piasek, prysnęli zimną wodą na twarz, a po chwili lord otworzył oczy i rzekł: — All right!

Jeszcze parę razy odetchnął ciężko, a potem rozejrzał się dookoła. Pierwsze spojrzenie lorda padło na Ferdka. Ujrzawszy go, lord odwrócił się w drugą stronę. Ferdkowi zakręciły się łzy w oczach. Obtarł je szybko rękawem, a do dozorcy zwrócił się z gorącą prośbą:

— Panie, tam jeszcze gdzieś jest Włodek.

— Znaleźliśmy was, znajdziemy i Włodka.

Ale to nie było rzeczą łatwą: w chwili upadku lord i Ferdek byli odrzuceni na balustradę łodzi, Włodek zaś w ostatniej chwili rzucił się do suwaka, zamykającego maszyny. Ferdek był tylko odurzony wypadkiem i szybko przychodził do siebie, lord Ralf miał przygniecione piersi i silnie skaleczoną głowę, ale bez jakichś niebezpiecznych powikłań.

Już nawet usiadł na ziemi, próbował powstać, lecz to mu się nie udawało.

Ale już i dzień zrobił się jasny, już idący do fabryki robotnicy zebrali się w licznej gromadce około miejsca wypadku, było więc już sporo sił do podjęcia pracy.

Jakoż po niedługich usiłowaniach udało się unieść samolot na tyle, że można było wejść pod dach i skrzydła maszyny.

Ferdek wpadł tam pierwszy i rzucił się na leżące przy maszynach ciało. Włodek leżał, jak martwy, rękę trzymał na suwaku, twarz miał woskowej białości, a z ust sączyła mu się purpurowa nić krwi.

— Boże, wielki Boże! Włodek nie żyje!—krzyknął przerażony Ferdek.

— Czekaj, czekaj chłopcze, tu jest felczer z fabryki, niech go obejrzy.

Ferdek, szlochając nerwowo, usunął się trochę w bok.

Felczer rozpiął kołnierzyk, bieliznę i ubranie Włodka, przyłożył ucho do piersi chłopca, słuchał długo, długo. Ferdkowi się zdawało, że chyba z rok, wreszcie podniósł się i rzekł:

— Serce bije.

— Bije serce? O złoty panie, co zechcesz, oddam ci, abyś go tylko ocalił, weź Trefla, weź Pikusia, weź Azę...

— Spokojnie, spokojnie, mój chłopcze. Tutaj nic nie poradzimy. Hej, chłopcy, weźcie no tego biedaka na ręce, tylko bardzo ostrożnie i zanieście do ambulatorjum fabrycznego. Wkrótce nadejdzie doktór, to damy chłopakowi należytą pomoc.

Robotnicy w kilku podjęli delikatnie ciało Włodka i za felczerem ponieśli ku bramie fabrycznej, a dozorca podszedł do lorda, mówiąc:

— Ten trzeci to najgorzej wyszedł, ale dzięki Bogu i on dycha.

— All right — była odpowiedź.

25. WINOWAJCA.

Skoro tylko lord przyszedł do siebie, zaczął badać samolot, aby odkryć, co było mianowicie przyczyną wypadku. Wszystkie części były z wyborowego, wypróbowanego materjału, wykonane w najsławniejszych fabrykach O'Connor Brothers Steel Comp. w Birminghamie. Jeżeli oś śmigi ukręciła się, to musiał być jakiś powód zewnętrzny.

Oglądając uszkodzoną oś, lord Ralf ze zdumieniem zobaczył, że była ona porysowaną, jak gdyby drobnym piaskiem. Jeżeli do oliwiarek dostał się piasek, jeżeli miast smarowania nastąpiło zacieranie się, katastrofa była nieuniknioną.

Angielska flegma opuściła lorda: krewki mazurski temperament matki uniósł go. Ze drżeniem wykręcił oliwiarkę i... na jej dnie ujrzał trochę oliwy... i... dobrą łyżkę drobnego piasku...

Ręce zadygotały mu z oburzenia: kto wczoraj obsługiwał maszynę? Ferdek. Kto miał nalać oliwy do oliwiarek? Ferdek.

W lordzie burzyło się wszystko i kipiało. Z febrycznem drżeniem w głosie zawołał:

— Ferdek!

— Jestem, milordzie.

— Ty napełniałeś oliwiarki?

— Ja, milordzie.

— Nasypałeś piasku do prawej.

— Co takiego?

— W oliwiarce znalazłem piasek. Nikt do niej nie miał dostępu, tylko ty i ja, a ja przecież nie niszczyłbym pracy całego swego życia.

— Milordzie, ja jestem sobie prosty chłopak, ale łotrem nie byłem i nie będę. Zbrodni nie potrafiłbym dokonać.

— Jednakże niezbite dowody są. Może to tylko jakieś niedbalstwo i lekceważenie z twej strony. Rozpatrzymy to później, lecz teraz, proszę cię, zejdź mi z oczu razem z całą twoją menażerją, niech na was nie patrzę.

Ferdek wybuchnął płaczem.

— Masz tu swoją kurtkę — ciągnął dalej lord, zdejmując z haczyka wiszącą marynarkę Ferdka — masz ją, zabieraj.

Lord rozdrażniony rzucił kurtkę Ferdkowi... z kieszeni marynarki posypał się miałki piasek.

— Oto dalsze dowody—wołał zgniewany lord.

— Jakie dowody? Wczoraj czyściłem drągi miałkim piaskiem, i to mi zostało.

— Więc widać przy czyszczeniu nasypałeś piasku do oliwiarki.

— Boże mnie skarz! Jakżebym to mógł uczynić?

— Nikogo więcej nie było w łodzi, Włodek przecież tego nie zrobił.

— Juści, że nie.

— Więc tylko ty jeden mogłeś to uczynić albo ze złej woli, albo z karygodnego niedbalstwa. Czy tak, czy tak, musisz za to odpowiadać przed sądem.

— Rany boskie! Ja mam iść pod sąd? Panie lordzie, na wszystkie świętości zaklinam się, że to nie ja.

— Za każde przewinienie musi nastąpić kara. Ufam twemu sumieniu, że nie uciekniesz haniebnie i poddasz się swej doli, ale gdy uporządkuję tylko trochę samolot i zarządzę naprawę, ty musisz iść pod karzącą dłoń sprawiedliwości.

Wielkie łzy spadały Ferdkowi z oczu. Trefl lizał jego opuszczone bezradnie ręce, a Pikuś nastroszył się smutnie na ramieniu swego pana.

Lord Ralf udał się do fabryki, aby omówić naprawę samolotu, a potem zaszedł do szpitala fabrycznego, gdzie na białej pościeli leżał równie biały, jak ona, Włodek.

Lekarz fabryczny stwierdził silne uderzenie w głowę, oraz złamanie dwóch żeber, uspokoił jednak lorda, że poważniejszego szwanku organów wewnętrznych na szczęście niema, a że chłopak zdrów i dobrze zbudowany, więc pomyślnie z potłuczenia wybrnie, musi tylko dłuższy czas poleżeć w szpitalu.

Kosztorys naprawy Lwa-Orła był bardzo znaczny, lord więc musiał zażądać pieniędzy z Anglji, a i do odbudowy aparatu trzeba było wypisać od O'Connor Brothers Steel Comp. niektóre części, więc nastąpiła długa zwłoka w podróży.

Lord zajęty był naprawą, do Ferdka wcale się nie odzywał, jakby go nie widział, a Ferdek bladł i mizerniał coraz bardziej; po nocach płakał i użalał się tylko Treflowi na swój tragiczny los. Czasem tęsknił za Azą, która gdzieś przepadła, ale nikt nie wiedział, gdzie i kiedy.

Włodek szybko powracał do zdrowia, już nawet przesiadywał w ogródku koło szpitala.

Pewnego pięknego popołudnia lord Ralf przyszedł do niego, usiedli razem na ławie pod kwitnącą akacją i za-

częli gawędzić. Naturalnie, że tematem ich rozmów był zawsze wypadek z samolotem.

— Czy zbadałeś, lordzie, co było bezpośrednim powodem wypadku?

— Nie mówmy o tem, mój drogi, sprawa to zbyt przykra.

— Zapewne, mogliśmy wszyscy znaleźć śmierć na miejscu.

— Śmierć nie jest rzeczą straszną, strasznem jest rozczarowanie.

— Co to ma znaczyć?

— Mój Włodku, nie chciałem mówić z tobą o tej bolesnej sprawie, lecz prędzej, czy później musi się ona wyjaśnić. Za parę dni Ferdek pójdzie do więzienia.

— Ferdek do więzienia? Milordzie, czy ja dobrze słyszę?

— Wiesz, dlaczego oś prawej śmigi ukręciła się? Nasypano piasku do oliwiarki, oś zatarła się silnie i ukręciła, a zbrodnię tę popełnił Ferdek.

— Milordzie, to być nie może: on zawsze taki był dobry, tyle miał serca.

— A jednak fakty nie kłamią. Ferdek więc pójdzie do więzienia.

— Boże, Boże! to straszne! Ten biedny, samotny sierota ma pójść do więzienia? To niemożliwe. Milordzie... ja... chciałem zrobić zwierzenie...

— O co chodzi, mój dobry chłopcze?

— Ja... ja... ze wstydem muszę się przyznać... że to ja właśnie nasypałem piasku...

— Ty, Włodziu? Nigdybym tego nie przypuścił.

— A jednak tak było: wziąłem... i nasypałem.

Tu blada jeszcze twarz chłopca pokryła się gorącym rumieńcem.

— Dziwne, dziwne. Ale ty jeszcze jesteś chory, pomówimy o tem innym razem.

— Ale Ferdek nie pójdzie do więzienia?

— Skoro nic nie winien?...

— Naturalnie, że nic nie winien. To ja... wziąłem i nasypałem...

Lord Ralf patrzył na niego, lecz Włodek spuścił oczy, zapewne ze wstydu, i milczał.

— No, bywaj zdrów, mój chłopcze—rzekł odchodząc.

— Ale Ferdek nie...

— Nie, nie, bądź spokojny. Good by!

Lord Ralf wyszedł zamyślony. Doszedł do samolotu, a zobaczywszy Ferdka, rzekł do niego:

— No, wyjaśniła się sprawa: nie jesteś winien w sprawie prawej śmigi.

— O rany Boskie, przecie ja panu lordowi od początku to mówię; chwała Bogu, że się to wyjaśniło! Któż więc winien? Kto nasypał piasku do oliwiarki?

— Zrobił to Włodek...

— Włodek? eee...

— Sam się przyznał przed chwilą.

— Włodek? No, no, to on pójdzie do więzienia?

— Naturalnie.

— Włodek do więzienia? Sam się przyznał? Eh, panie lordzie, co pan takiego słucha? On ma gorączkę, plecie trzy po trzy...

— Ależ sam się przyznał.

— Matko Boska! Włodek? Ale co on tam baje, panie lordzie, już jeżeli ma być szczera prawda, to już ja się uczciwie przyznam: ja nasypałem piasku.

— Tyś nasypał?

— Sprawiedliwie mówię. Żebym tak... tego... no... biorę garść, otwieram oliwiarkę i sypię, tak, sypię, aż się nasypało. Sprawiedliwie.

— Jak to było, jak?

— No, biorę oliwiarkę... otwieram garść... i tego... no... sypię... i się nasypało.

— Jeżeli tak, to muszę wierzyć. Więc ty pójdziesz do więzienia.

— Ja pójdę? A, no tak, tak, tak, ale nie Włodek. Gdzieżby taki wątlak, taki potłuczony, taki paniczyk, taka nędzota mógł wytrzymać więzienie? Ha, no, wola Boska.

Lord Ralf odszedł zamyślony: — Dziwni chłopcy! Ten mówi, że zawinił, ten także. Dziwne te polskie dusze: nic innego, tylko się chce jeden dla drugiego poświęcić. Angielskie chłopaki nie zdobyłyby się na to, o nie!

Jednakże lord uważał, że skoro wymówił u siebie miejsce Ferdkowi, to decyzji swej cofać nie będzie. Obliczył mu więc zarobek za parę miesięcy, wypłacił wszystko i polecił odejść.

Oj, spłakał się Ferdek, spłakał, żegnając Włodka i samolot. Do lorda nigdy nie miał wielkiej śmiałości, a tem bardziej teraz, ale cóż miał robić: zabrał Trefla i Pikusia, i powędrowali przez most Kierbedzia na lewą stronę Wisły.

— Może znajdę babcię Walentową?—pocieszał się Ferdek, a tymczasem łykał łzy.

26. NA CZERSKIM ZAMKU.

Od O'Connor Brothers Steel Comp. nadeszły listy, że żądane części wysłano do Gdańska. Włodek był już zdrów, więc razem z lordem zwiedzali Warszawę. Byli we wspaniałych salach zamku królewskiego. Oglądali wykwintną sypialnię królewską z cisowego drzewa i błękitnej materji. Lord olśniony był przepychem Kolumnowej sali i królewskim majestatem komnat. Przez długie korytarze przeszli do katedry świętego Jana, aby zwiedzić ten przepiękny stary kościół. Pod pomnikiem Małachowskiego i przed portretem Dekerta Włodek opowiadał lordowi całe dzieje Konstytucji Majowej, a potem chodzili po Starym Rynku, oglądając to baryczkowską kamienicę, to fukierowskie podwórko, to lochy kamienicy ks. mazowieckich.

Popołudnia spędzali na zwiedzaniu Łazienek, ogrodu botanicznego, Wilanowa. Zwiedzali muzea i wystawy, lord bowiem gorąco interesował się stolicą.

Wreszcie postanowiono wybrać się do Czerska, gdyż lord przypuszczał, że może to jest rzeczywiście rodzinny zamek jego matki.

Ruiny Czerska

Wąskotorowa dymiąca i trzęsąca kolejka przez Mokotów, Pyry, Piaseczno i Baniochę powiozła ich do Góry Kalwarji, skąd trzy kilometry poszli sobie piechotą po wysokim brzegu Wisły ku czerniejącym wieżom czerskiego zamku.

Lord wyjął z pugilaresu tajemniczą kartkę dziada i rozpatrywał się w niej.

Gniazdo nasze.

Gdzie 17, 9, 12, 9, 3, 1 ma swe źródła, gdzie 17, 9, 12, 9, 3, 1 wznosi swe mury, ród Zbrojomirskich usłał gniazdo swoje. Imię jego: 19, 14, 16, 12, 5, 15. Widać zeń 16, 7, 18, 16, 4, 24, 9, 5, 15, 9, 5, 3, orle gniazdo 2, 16, 15, 1, 18, 16, 22.

Przybywszy do Czerska, lord Ralf z Włodkiem obejrzeli ruiny zamkowe, a siadłszy w cieniu wysokiej baszty pró-

bowali odcyfrować dziwną notatkę. Kilku chłopców i stary dziadek otoczyli przybyszów.

Lord próbował nawiązać rozmowę ze staruszkiem.

— Kto tu mieszkał w tym zamku?

— Państwo wielkie, mazowieckie książęta — mówił staruszek.

— A czy tu jest gdzie jakie źródło?—pytał lord, patrząc na swoją kartkę.

— Jest, a jakże.

— A gdzie?

— Na rynku.

— Czy tam wypływa jaka rzeka?

— Eh, nie. Rzeki tam niema, ale jest lemoniada, kwas, cukierki.

— Cóż to za źródło?

— A to jest „Źródło taniości", tak się nazywa nasz sklep spółkowy.

— All right! A czy nie słyszeliście kiedy o rodzie Zbrojomirskich.

— Dlaczego nie miałem słyszeć? Wielkie państwo! Mieli swoje majątki...

— Doprawdy? Czy znaliście może starego pana?

— Czym go znał? Toż jakbym go widział: wysoki, siwy, z dużą brodą...

— Z taką bardzo piękną i dobrą twarzą...

— Właśnie, właśnie, dobrze pan powiedział: z twarzą, i córkę miał bardzo piękną...

— Znaliście ją? — zawołał wzruszony lord.

— Com nie miał znać? Od małego dziecka znałem; znałem i potem, jak wyszła za mąż.

— A za kogóż ona wyszła?

— Za pana Grobickiego z Grobic.

— A o kim wy mówicie? Ja się pytałem o Zbrojomirskich.

— Toć przecie rozumiem, tylko, że oni się nazywali Wszędobylscy...

Lord zrozumiał, że się ze staruszkiem nie dogada, ale nadszedł ksiądz proboszcz i opowiadał gościom ciekawe rzeczy o Czersku: jak tu mieszkał Konrad Mazowiecki, co w zamku

więził księcia Henryka Śląskiego, jak przyjechała święta Jadwiga, żeby męża z niewoli wydostać, jak też Konrad więził tu swoją bratowę z synkiem, jak potem królowa Bona sadziła na zamkowej górze winnice, jak jeszcze później wysadzili zamek w powietrze Szwedzi, i odtąd leży on już w ruinie. O rodzinie Zbrojomirskich proboszcz nie słyszał, a i źródeł żadnych w pobliżu nie było.

A więc nie był to zamek, którego szukał lord.

Pomimo zawodu przybysze zachwycali się widokiem ze szczytu wieży, skąd doskonale rysowała się wysoka linja brzegowa, a wśród niej wzgórze zamkowe stanowiło ostry przylądek przy zbiegu Czarnej i Wisły. Dalej widać było białe domy i czerwone dachy Góry Kalwarji, po drugiej stronie Wisły czerniała olbrzymia Kępa drzew — to park Starego Otwocka.

Włodek nie mógł nacieszyć się dosyć tym czarownym krajobrazem, już odchodził i znów powracał.

— Co za szkoda, że Ferdek nie widzi tych piękności,— westchnął Włodek.

— Ferdek poszedł i nawet się nie zapyta o nas.

— Skoro go wypędziłeś, milordzie.

— Wypędziłeś, wypędziłeś... ja mu tylko powiedziałem, żeby sobie poszedł. Powiedziałem, że go oddalę i musiałem dotrzymać słowa. Tak mi nakazywał mój angielski honor.

— A on znów ma swój honor polski, co mu nie pozwala się narzucać.

— All right, — zamknął lord Ralf rozmowę i w milczeniu już wracali do Warszawy.

27. SMUTEK I RADOŚĆ FERDKA MINOGI.

Ferdek tymczasem zgryziony niesłusznem posądzeniem, to zaciskał pięści w bezsilnej złości, to powstrzymywał cisnące się do oczu łzy. Trefl dreptał ze zwieszonym ogonkiem, a Pikuś nasępiony siedział na ramieniu swego pana.

Tak przewędrowali duży szmat drogi, gdyż ukazywały się już wiatraki Woli, a domy malały i rzedły.

Nagle Trefl zaniepokojony zaczął węszyć jakieś ślady i pomrukiwać zcicha, wreszcie zaskomlił napoły radośnie, a napoły smutno.

— Trefl, do nogi, co ci jest?

Ale Trefl szybko pobiegł wzdłuż parkanu ku furtce i, zatrzymawszy się tu, zaczął ujadać.

— Co się temu psu dziś stało? — pomyślał Ferdek.

Tymczasem i Pikuś ćwierkając żywo i radośnie przefrunął przez parkan, więc Ferdek, rad nie rad, nacisnął klamkę furtki i wszedł na podwórko. Tu Pikuś usiadł mu na ramieniu i, trzepocąc skrzydełkami, rozpoczął jakieś niesłychanie zajmujące opowiadanie, z którego Ferdek rozumiał tylko: pi, pi, pi, ćwierk, ćwierk, tsz, tsz.

Z takiego opowiadania naturalnie nie wiele mógł się dowiedzieć.

A Trefl jak strzała pobiegł ku drzwiom małego domku, który stał w głębi podwórka.

Nagle w sionce domu rozległ się przeraźliwy wrzask koci, szczekanie Trefla, łajania kobiece, pisk jakichś stworzeń, gdakanie kur, słowem istny dzień sądu w małej sionce na Woli.

Ferdek pobiegł tam pędem i zobaczył, że Trefl atakuje jakiegoś kota poowijanego w bandaże, a niemłoda kobieta usiłuje bronić napadniętego. Chłopak zawołał psa raz i drugi, ale bezskutecznie, zauważył jednak, że pies rzuca się na kota nie ze złością, lecz jakby radośnie. Pikuś też siadł na kocie i wesoło śpiewał. Co to wszystko może znaczyć?

Lecz nie było tu czasu na namysły: kobiecina już imała się miotły, krzycząc na psa, a jego pana traktowała od łobuzów i włóczęgów.

— Biedne kocisko, — mówiła, — spadło skądś z góry, potłukło się, ledwiem je zratowała, a tu oni napadają na biedne stworzenie.

Spowinięta w powijaki kotka teraz uważała za właściwe miauknąć boleśnie, jak to czyni dystyngowana dama, gdy ją spotyka przykrość.

— Rany Boskie! Toć to przecie Aza! — zawołał zdumiony Ferdek, a Aza miauknęła żałośnie.

— Co, to ty znasz chłopcze tę biedną kotkę? — zapytała staruszka.

A Ferdek już siedział przy kotce, głaskał ją i pieścił.

Aza, którą mało co było widać z powijaków, wzdychała boleśnie, ale z należytą dystynkcją, jak to na potomkinię ze starożytnego rodu de Koci Ogon wypadało.

Wreszcie staruszka oderwała Ferdka od jego wychowanki i zapytała o bliższe dzieje, a sama opowiedziała, że podczas burzy kotka spadła ziemię, a choć, jak to kot, spadła na cztery łapy, ale jednak potłukła się, i staruszka musiała ją kurować.

Ferdek opowiedział swe przygody z samolotu, a gdy wyjawił swe imię i nazwisko, staruszka klasnęła w ręce ze zdumienia:

— Jakto! Ty jesteś Ferdek Minoga?

— No tak, Ferdek Minoga.

— Dziecko kochane, a tożeś ty mój wnuk!...

— Wnuk?

— No, tak, wnuk, bo moja córka Rozalja wyszła za Wojciecha Minogę, który wyjechał do Ameryki, a o niej słuch zaginął, bo wyszła na roboty do Prus.

— Proszę pani, ja jestem Ferdek, ale ja rodziców wcale nie pamiętam, więc... ja... nie wiem.

— Ależ ty jesteś żywym portretem mojej Rózi, tu nie może być żadnej wątpliwości... wnuczku drogi!

— Babciuniu moja! Miłosierny Pan Bóg ratuje mnie w nieszczęściu. Babciuniu całuję twoje rączki.

— Wnusiu kochany, dziecię mojej jedynej Rozalki!

— Babciuniu, taki sam jeden jestem na świecie, nikogo nie mam bliskiego.

— Sama i ja jestem wnusiu, samiuteńka, odkąd twoja matka wyjechała i słuch o niej zaginął.

— Ale mnie już babcia od siebie nie wypędzi, prawda?

— Ja? Mój wnusiu, będziesz osłodą mojej starości ty, ty, żywy portrecie mojej jedynej córki.

— Jak to miło, babuniu, gdy się ma kogoś ukochanego blisko siebie.

— Miło wnusiu, bardzo miło, zwłaszcza gdy człek już stary i wszystko na ziemi stracił.

— Ja będę babuni tak pracował, tak pracował, nie pozwolę babuni męczyć się i mordować. Sam wszystko zrobię. Zobaczy babcia, jaki ze mnie majster!

— Twoja matka też taki zuch była, chwat dziewczyna, miałam z niej dużo pociechy i wyrękę niemałą.

— Coś, jakby przez mgłę przypominam sobię mamę, ale bardzo, bardzo mało.

— Podobny jesteś do niej zupełnie, jeno żeś jakiś tęższy, silniejszy...

— Bom chłopak, i to nie byle jaki. Co tu babcia ma do roboty, bo już mnie ręce swędzą do pracy.

— Oj roboty to tu nie brakuje, ot przynieś no wody ze studni, będziemy szorowali podłogę. A potem zanieś do komisarjatu kartkę meldunkową, bo musi być we wszystkiem porządek.

Ferdek uradowany skoczył po wodę, a potem rozkwaterował się na dobre w domku babci. Jego menażerja rozpanoszyła się tu jak u siebie: Trefl szczekał zajadle, gdy kto przechodził przez ulicę, a po wystraszeniu obcego wracał, machając z zadowolenia ogonem, i mówił do Azy:

— No, żeby nie ja, to jużby nic nie było z babci gospodarstwa, wszystkoby rozkradziono.

— Cóż tu jest do rozkradania? — cedziła przez zęby Aza, — kiedy byłam na pensji...

— Ach wiem, już wiem, znam tę historję, djabelnie nudna, — przerwał Trefl i ziewnął.

— Uprzejmy jesteś,—zauważyła Aza, wzruszając ramionami i mrużąc po pańsku oczy, poczem odchodziła z dumą.

— A, idź do licha ty nadęty pęcherzu, księżniczko de Koci Ogon, — mruczał Trefl.

Pikuś zajadle ząb za ząb kłócił się z wróblami, co ćwierkały na dachu.

— Wiszszsz, wiszszsz! przy... przy... błęda, — szwargotały zagniewane wróble.

— Co, co, co, co? Pi-pi-pi-kuś jestem, Fer-fer-ferdka przyjaciel, ciel, ciel, ciel.

— A juści, ci, ci, ci! Ciel, ciel, ciel! Całe cie-cie, cielę! Hi, hi, hi, hi! — i gwarliwą gromadą rzucały się na duży włoski orzech, co stał za domkiem.

Ferdek, babcia, Trefl, Pikuś wszyscy byli zadowoleni i wielce uradowani. Tylko Aza wzdychała, a to że mleka nie ma, to znów, że na podwórku jest błoto, a na wróble patrzyły z wielka niechęcią i mruczała;

— Wrzeszczą warjaci, głupie ptaszyska, a pewno to chude, same pewno gnatki i nic więcej.

A wróble rozumiały jej mruczenie i zanosiły się od śmiechu:

— Aza, za, za, za, głu-pia, pia, pia ko-ci-ci-ci-ci-ca, — i dalejże za orzech.

Aza zaś obrażona mówiła:

— Po wypadku moim nie mogę wspinać się na drzewa, gdyż dostaję zawrotu głowy. Zresztą to z pewnością chudzizna, nawet przeglądają im gnaty przez pierze.

28. NOWE PSOTY CHOCHLIKA.

Kiedy naprawę samolotu ukończono, kiedy już go wypróbowano, lord postanowił jechać do Lublina, gdyż sześć liter w nazwie tego miasta mogło właśnie stanowić poszukiwany przez niego punkt.

Po ostatecznych przygotowaniach do podróży lord rzekł do Włodka.

— Ciągle jesteś smutny, mój Włodziu, czy jeszcze dokuczają ci rany po potłuczeniu?

— Nie milordzie, lecz myślę ciągle o biednym Ferdku. Co się też z nim dzieje?

— Ferdek sam sobie winien: przez swą lekkomyślność ryzykował życie nas wszystkich.

— Oh, milordzie, jestem głęboko przekonany, że on wcale nie zawinił.

— Więc któż? Zobaczysz jak teraz pomyślnie pójdzie nam droga.

— Daj Boże! Ale to mnie wcale nie przekona, żeby Ferdek miał spełnić jakiś czyn nieszlachetny.

— Ja tego nie twierdzę ze stanowczością. Ludzie się mylą. Jeżeli przekonam się, żem go niesłusznie posądzał, to odszukam go i przeproszę.

Jakiś szmer rozległ się koło kompasu, ale tak nieznaczny, że ani lord Ralf, ani Włodek nie dosłyszeli go wcale.

Piękny letni wieczór pokrył purpurą zachodu cały horyzont nad Warszawą. Na tle tej purpury kreśliły się sylwety wież od kopuł Świętego Aleksandra aż po czerwoną potężną dzwonnicę Anny-Danuty mazowieckiej przy kościele N. M. P. na Nowem Mieście.

Lord Ralf sam stanął u steru, a Włodek puścił w ruch śmigi maszyn. Lew-Orzeł posłusznie uniósł się w powietrze i lekko poszybował w kierunku, nadanym mu przez lorda.

— Sądzę, że o świcie staniemy w Lublinie,—mówił Ralf Castelbury, — z czego się śmiejesz?

— Ja? Wcale się nie śmieję.

— Zdawało mi się, żem usłyszał szyderczy śmiech.

— Ja wcale się nie śmiałem.

Cisza wieczoru ogarnęła podróżnych. Lord wpatrzony w strzałkę kompasu, trzymał ręce na kółku sterowem.

Noc zapadała szybko, czarna, duszna, bezgwiezdna, ciężka noc letnia.

Lew-Orzeł lekko pruł granatową przestrzeń powietrza, a Włodek spoczął w hamaku, uśpiony miarowym turkotem maszyny.

Lord Ralf czuwał.

Gdy brzask jutrzenki rozpędził ciemności nocy, lord zobaczył, że samolot pędzi nad wielkiemi obszarami lasów.

— Te mapy sztabu rosyjskiego doprawdy nic nie są warte, — mówił sternik, — nie zaznaczone są na nich zupełnie te lasy.

Wkrótce zbudził się Włodek.

— Czy nie widać jeszcze milordzie trynitarskiej wieży Lublina? — zapytał.

— Nie. Unosimy się nad borami, których na mapie wcale nie ma.

— Eh, te mapy, zawsze są one pełne błędów.

— Według mego obliczenia powinniśmy być już pod Lublinem.

Ale przeszło jeszcze pół godziny, godzina, wzeszło już słońce, a Lew-Orzeł ciągle jeszcze sunął nad lasami. Gdzie niegdzie tylko zajaśniała uprawna polana i wioska, czasem kłęby mglistych oparów znaczyły bieg rzeki.

Gdy słońce już wysunęło się z za widnokręgu, Włodek zawołał:

— Milordzie, milordzie, błysnęły mi złociste kopuły, Lublin musi być już niedaleko stąd.

Jakoż widać było rysujące się coraz wyraźniej wieże i kopuły kościelne, tonące wśród zielonych ogrodów, widać było rozległe miasto na pagórkach, u zbiegu dwóch rzek.

Włodek, który przez lunetę przyglądał się miastu, rzekł:

— Takie mam wrażenie, że to nie Lublin.

Lord Ralf roześmiał się szczerze i rzekł:

— Pewno jeszcze trochę drzemiesz, mój chłopcze.

Ale Włodek upierał się:

— Nie, nie. Nie widzę tu ani przysadzistej bramy krakowskiej, ani smukłej wieży trynitarskiej, ani kościoła na Czwartku...

— Bo to dziś dopiero wtorek, — śmiał się lord.

Włodek znów obserwował.

— Ależ milordzie to z wszelką pewnością nie jest Lublin, to jakieś inne miasto...

— To niemożliwe. Nie spuściłem oka z kompasu, a kompas *W. R. Mathews Co. Brookbyn N. Y.* to rzecz nieomylna.

— Jednakże ja jestem przekonany, żeśmy zbłądzili, to nie jest Lublin.

Lord Ralf zastanowił się: czyżby rzeczywiście zbłądzili? Ależ to chyba kompas się zepsuł, nie, tego nawet przypuszczać nie można.

Miasto rysowało się coraz wyraźniej: widać było górę z zamkową wieżą, plac z dużym kościołem, liczne wieże kościelne, a wszystko otoczone półkręgiem zielonych pagórków.

Niedaleko od miasta zieleniło się rozległe błonie. Tam lord Ralf postanowił wylądować. Tam też skierował samolot, a Lew-Orzeł po chwili lekko dotknął ziemi.

Kilku ciekawych podbiegło do aparatu.

— Co to za miasto? — zapytał ich Włodek.

— Taż to Wilno, — odparli chórem.

— Wilno? — Lord Ralf zadumał się, brwi zmarszczył i zagłębił się w myślach. Nakoniec rzekł:

— Idź do miasta, ja pozostanę tutaj.

Włodek poszedł smutny i zgnębiony: coś w tym wzorowym, bajecznym samolocie zepsuło się. Jakżeby triumfował von Lichtenstein, któremu lord odmówił sprzedaży swych wynalazków dla rządu pruskiego.

— Co się tam mogło stać, co się mogło stać? — rozmyślał.

Tymczasem wszedł już w obręb miasta i skierował się prosto do wielkiej katedry, gdzie właśnie dzwoniono na prymarję.

Katedra Wileńska, stojąca na miejscu dawnej świątyni Perkuna, imponujące robi wrażenie, zwłaszcza jej kaplica św. Kazimierza, tak gorąco ukochanego przez Litwinów, stanowi ciekawy zabytek Jagiellońskich czasów.

Gorąco modlił się Włodek o odmianę tych dziwnych kłopotów, jakie los na nich zesłał, a po modlitwie poszedł sobie na Zamkową górę, skąd rozległa na całe miasto rozciągała się panorama.

W ogrodzie okalającym szczątki murów zamkowych, było jeszcze pusto, jedynie tylko jakiś staruszek rzucał okruszyny wesoło ćwierkającym wróblom.

Zobaczywszy Włodka, staruszek popatrzył nań uważnie:

— Chyba jesteś nietutejszy, młodzieńcze? — zapytał.

— Tak jest, przybyłem tu przed chwilą.

— Czy długo zabawisz w Wilnie?

— Sądzę, że dziś jeszcze wyjadę.

— Dziś jeszcze! Szkoda wielka, bo tu w Wilnie dużo jest do widzenia. Sześćdziesiąt lat ja tu już mieszkam, i widziałem tu nie mało.

Staruszek umilkł i zamyślił się.

— Czy chcesz abym ci pokazał pamiątki miasta?

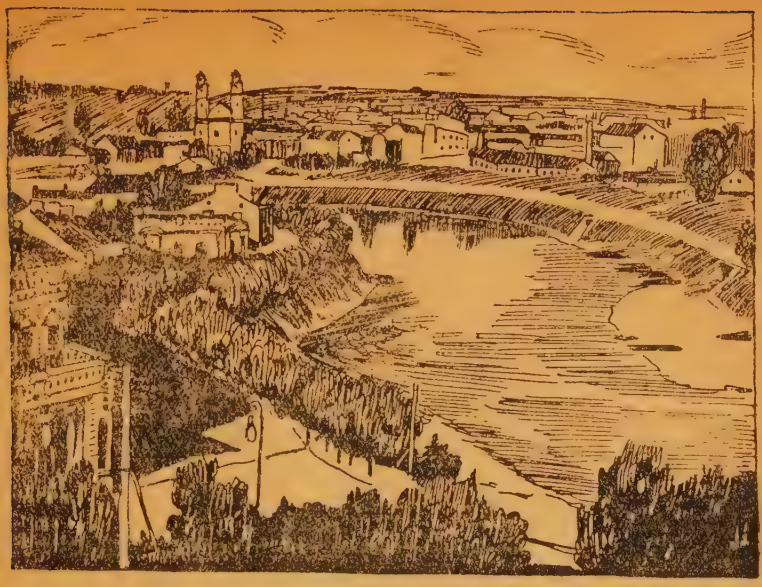

Widok z. Wilna.

— Nie śmiałbym trudzić szanownego pana.

— Dla mnie to wielka przyjemność, więc chodźmy.

Staruszek pokazał mu kościoł świętego Jana z pomnikiem Mickiewicza, potem uniwersytet Stefana Batorego, potem kościół świętej Anny, o którym Napoleon powiedział, że gdyby mógł, toby go na ręku zaniósł do Paryża.

Staruszek zaprowadził go do pokoiku w domu na zaułku Zamkowym, gdzie w ścianę była wprawiona tablica z napisem: „Tu Mickiewicz napisał Grażynę".

Nie było czasu na wycieczkę na Bekieszową górę, ani do lochów Bakszty, bo Włodek spieszył się do lorda.

Największą świętość Wilna zachowałem ci na ostatek,— mówił przewodnik, — to kaplicę Ostrobramską.

Poszli dość ciemną ulicą, którą zamykała brama. Wszyscy przechodnie kornie zdejmowali tu czapki z głów, a wiele osób klęczało na bruku ulicy.

Nad arkadą bramy widniało duże okno rzęsiście oświetlone. W to okno wpatrzone były oczy modlących się. Za oknem widać było przybrany kwiatami ołtarz i złocistą zasłonę, zakrywającą cudowny obraz.

— Tam nasza Najświętsza Panienka Ostrobramska, — szeptał do ucha staruszek Włodkowi, a jemu snuł się wstęp do Pana Tadeusza:

„Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie"...

Żarliwy gorący szept modłów pobożnych przerywało czasem głębokie westchnienie. Włodka ogarnęła dziwna jakaś błogość, jakieś upojenie, że zda się był oderwany zupełnie od ziemi, a duch jego obcował z aniołami. Szeptał też swą błagalną prośbę:

— O Boża Rodzicielko! Ratuj nas, odsuń od nas złe jakieś moce. Lord szuka domu swej matki, Ferdek niesłusznie cierpi, smutek nas ogarnia. Zlituj się Panno Święta i daj nam uspokojenie, a zamiarom naszym błogosław...

Włodek wpatrywał się w złocistą zasłonę; wtem zadźwięczał cichy srebrny dzwonek i złocista zasłona bez szelestu rozsunęła się, a ukazało się Słodkie Oblicze, co w Ostrej świeci bramie.

Włodkowi zatopionemu w zachwyceniu zdawało się, że miłościwe spojrzenie z Ostrobramskiego obrazu padło na niego, dodając otuchy i kojąc jego troski.

Wyszedł w złocistym ornacie ksiądz i zaczął cichą mszę świętą. Pobliski zegar uderzył godzinę dziewiątą, ale Włodek prawie nie słyszał tego, zatopiony cały w żarliwej modlitwie.

Gdy nabożeństwo skończyło się, Włodek wstał pokrzepiony i uspokojony. Staruszka nie było, nie chciał widać przeszkadzać w modlitwie i odszedł bez pożegnania.

Włodek szybko pobiegł w stronę samolotu.

Lord Ralf wyszedł kilka kroków naprzeciwko niego.

— Patrz, patrz, — wołał zdaleka, pokazując jakiś maleńki przedmiot w palcach.

— Co to takiego? — pytał zaciekawiony Włodek.

— Gwóźdź, mały, maleńki gwoździk żelazny, on to nam tego piwa nawarzył.

— Nie rozumiem.

— Zapewne, że to nie łatwo zrozumieć. Otóż wyobraź sobie, że ten gwoździk leżał tuż przy kompasie. Skutkiem

tego skazówka kompasu ciągle błędnie wskazywała kierunek, bo to blisko leżące żelazo oddziaływało na nią przyciągająco. *W. R. Mathews Co.* jest zupełnie w porządku.

— Ale kto mógł tam położyć ten gwoździk? — pytał zdumiony Włodek.

— No, nie ja i nie ty, — odparł lord.

— No, i nie Ferdek, bo go już dawno nie ma, — dodał Włodek.

— Naturalnie, że nie Ferdek. Ale przecież nikogo innego na samolocie nie ma... Czego się śmiejesz?

— Nie śmieję się milordzie.

— Zdawało mi się. Ja sądzę, że to chyba któryś z robotników, naprawiających samolot przez roztargnienie zostawił ten gwoździk.

— Nie milordzie, to niemożliwe, gdyż już próby wypadłyby źle, a przecież Lew-Orzeł działał zupełnie sprawnie.

— Masz słuszność. Ale co to może być, doprawdy trudno mi pojąć.

— Nasze niepowodzenia ciągną się od pobytu nad Gopłem. Czyżby to miało jaki związek?

— Eh, cóż znowu: gdzie Gopło, a gdzie Wilno; coś jest tajemniczego, ale co, nie mogę odkryć i to mnie gniewa.

— Zapewne; kiedy znalazłeś ten gwoździk milordzie?

— Niedawno, biła właśnie dziewiąta na zegarach miasta.

— Ach tak? Cóż teraz będziemy robili?

— Zaraz wracamy do Warszawy.

— A Lublin?

— Odkładam ten wyjazd na później. Najpierw muszę wyszukać Ferdka i przeprosić go za niesłuszne posądzenie?

— Milordzie, kocham cię za twą dobroć.

— To tylko sprawiedliwość, mój chłopcze.

Nie zwlekając długo, puścili w ruch maszyny samolotu, i Lew-Orzeł skierował lot swój ku Warszawie.

Włodek patrzył na Wilno, oblane pozłotą południowego słońca, patrzył z uwielbieniem i wdzięcznością.

29. TAJEMNICZY LIST.

Podczas drogi powrotnej samolotu ku Warszawie powietrze było dość niespokojne; od czasu do czasu silny wiatr kręcił tumany kurzu, słomek, suchych liści i skrawków papieru.

Jeden taki podmuch trochę tych śmieci wrzucił do łodzi samolotu, a jakiś spory kawałek papieru upadł na blachę motorów, gdzie zwykle bywało dość gorąco.

Włodek podbiegł, żeby ten papier zrzucić, lecz on tak gładko przyległ do blachy, że trudno było go od niej oderwać.

Włodek popatrzył nań uważnie i spostrzegł, że na czystej, gładkiej powierzchni papieru zaczyna się ukazywać jakieś pismo żółtego koloru.

— Oj, milordzie, jakiś tajemniczy papier, bodaj, że to jakiś list... pismo występuje coraz wyraźniej... z jasno żółtego staje się brunatnem, co to jest takiego?

Lord Ralf podbiegł do maszyn, spojrzał i rzekł:

— To rzeczywiście pismo. Zapewne pisane sokiem cebuli. Był to odwieczny sposób przesyłania tajemniczych listów: macza się pióro w rozkrajanej cebuli i pisze po papierze. Na papierze wcale nie ma najmniejszych śladów, lecz jeżeli papier taki położyć w gorącem miejscu, to pismo ukazuje się natychmiast, bo sok cebulowy od gorąca żółknie i brunatnieje.

Papier pokrywało pismo dość niezdarne, jak często piszą małe dzieci, ale zupełnie wyraźne i łatwe do odczytania.

— No, ale też napisane! — śmiał się Włodek.

— Mamy prawo to przeczytać, — rzekł lord zaciekawiony. — Niewątpliwie jest to list do nas.

— A więc czytajmy!

List brzmiał jak następuje, przyczem pisownia była okropna:

— Panje KasztaN Bóry. Obafiam sie, rze mui dwoźanin Chochlig dóżo pa Nu na robił kszyfdy, boto jezd zły duszeg. jeGo koleGa SkjerkA opo Wiedział Mi fszystko, rze Onsie został Na tem, copan Lata, żeby Pan u psocidź. Wjenc nichmu Pankaże wracadź za Raz nad Gopło, Bomu

cięszko kare zadam. Psie praszaM pana Burego kaztana i Włotka tysz i Fertka tysz. Goplana krulowa Gopła.

P. S. Unas nadnie ieziora nimasż koły, wjenc morze jezd tu iaki blond.

Włodek zaśmiewał się:

— Może jest jaki błąd! Biedna królowa, list jej roi się od błędów. Żadna dziewczynka z podwstępnej klasy nie narobiłaby tyle błędów.

— No, to już mniejsza, skąd taka biedna Goplana mogła dobrze nauczyć się pisać. W każdym razie z jej strony jest to uprzejmość wielka, że nas zawiadomiła o pobycie swego niewidzialnego dworzanina-psotnika.

— Hej, mości Chochło! — wołał Włodek — pokażno się waść, ciężkie mamy ze sobą obrachunki.

Ale na samolocie było milczenie głębokie, widać Chochlik przestraszył się groźby swej królowej.

— Teraz więc rozumiem kto nasypał piasku do oliwiarki, kto położył gwoździk przy kompasie...

— No, sprawa kompasu to błachostka; miałeś możność zwiedzić Wilno, i to coś warto. Ale ukręcenie śmigi mogło nas wszystkich trzech narazić na śmierć. Eh, gdybym złapał tego waszego Chochlika, miałby on się z pyszna w moich rękach.

— A milord omało nie oddał Ferdka do więzienia.

— Właśnie, do wielu błędów dodałbym jeszcze niesprawiedliwość, a to rzecz bardzo przykra. Aleś ty się nacierpiał mój Włodku...

A biedny Ferdek? On cierpiał jeszcze więcej... przyśpieszmy lot, by prędzej stanąć w Warszawie i wyszukać Ferdka.

— Nie można czynić nadmiernych wysiłków dopóki ten nieproszony gość jest na samolocie. U nas w Anglji jest też podobny psotnik. Nazywa się Puk.

— Puk, nocy wesoły wędrowiec,
Z jego się figlów nieraz król śmiać raczy
On wiejskie dziewki straszy swoją psotą
On żarna psuje, jego tylko wini,
Gdy próżno masło bije gospodyni
Zbłąkany pielgrzym jest jego zabawą.

— Ależ to bliski krewniak naszego Chochlika, którego Słowacki opisał w Balladynie, Chochlika, karconego przez Grabca:

Moje czarne psisko
Nie wierzę tobie... bo mnie błąkasz... sadzasz w błocie...
I wykręcasz ogonem. Nie... mój czarny kocie,
Chciałem ciebie pogłaskać, a ogień wytrysnął...

— Taki ot psotnik, dokuczający ludziom bez powodu.

— Tak, tak, to krewniak naszego Puka ze „Snu nocy letniej". Co my z tym nieproszonym gościem będziemy robili?

— Wypędzić go trudno, bo to obywatel niewidzialny. Ale zagrozimy mu, że jeżeli nie przestanie nam dokuczać, może się z nim źle skończyć: nie czekając Goplany, sami rozprawimy się z nim bez ceremonji.

— Czy potrafiłbyś to spełnić?

— Naturalnie.

— Ale w jaki sposób?

— To mój sekret, milordzie. Mam sposoby, których mnie nauczył stary czarnoksiężnik. Biada psotnikowi, gdybym je zastosował!

— Doprawdy, że sam się już lękam.

— Nie żartuj, milordzie. Oto zaklinam brzydkiego psotnego Chochlika:

Przez jeziora toń
Broń się Chochło, broń!
Z czarnego kamienia
I żądła szerszenia
Ugodzi cię grot!

Przez czarne noce,
Piekielne moce,
Gradowe chmury
Djabelskie góry
Za płot, za płot, za płot!

— Abrakadabra! Hokus-pokus, psikus-fifikus! Szlem, krem, abrakadabraaaa!

Włodek zrobił straszliwie srogą minę, we wszystkie cztery strony świata się obrócił, wygrażał pięściami, udawał, że strzela z łuku, słowem zachowywał się, jak rodowity czarodziej z nad jeziora Tanganaika.

Lord nie wiedział, czy się śmiać, czy gniewać, a po jednem skrzydle przeszło jakby drżenie ze strachu, jakby dreszcz i słaby, cichuteńki pisk przerażenia.

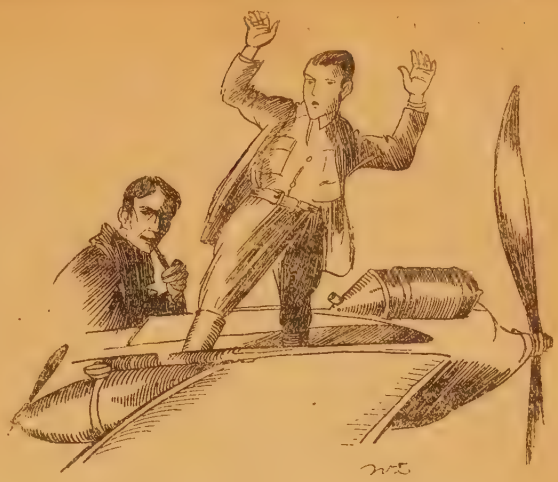

Lew-Orzeł sunął pomyślnie i o wczesnem popołudniu lądował na piaskach za Brudnem.

30. DAREMNE TRUDY.

Pierwszą pracą lorda Ralfa w Warszawie było zwrócenie się do biura adresowego celem dowiedzenia się gdzie mieszka Ferdek Minoga. Wypisał lord kartkę z jego imieniem i nazwiskiem, potem czekał pół godziny i otrzymał kartkę z odpowiedzią:

— Franciszek Makaron mieszka na Wspólnej pod Nr. 16.

Lord udał się do okienka. Urzędniczka czytała właśnie nadzwyczaj zajmującą powieść pod tytułem: „Czarna hrabina, czyli zaklęte skarby".

— Pani się pomyliła, ja zapytywałem o inną osobę.

— Ja się nigdy nie mylę.

— Jednak ja prosiłem o Minogę, a pani daje mi Makaron.

— Mój panie, cóż to znaczy? Czy tu jest restauracja? Tu jest urząd, a urząd to ho, ho!

— Ja to rozumiem, lecz nie dowiedziałem się tego o co mi szło.

— To pan się pewno pomyliłeś w pytaniu rzekła urzędniczka, rozpoczynając rozdział 73-ci Czarnej Hrabiny—podaj pan nową kartkę.

Lord posłusznie spełnił polecenie. Teraz czekał prawie półtorej godziny, wreszcie otrzymał odpowiedź:

— Filipina Migdał mieszka na placu Trzech Krzyży 8.

— Ależ pani mi daje Migdał, a ja potrzebuję Minogi, rozumie pani: Mi-no-ga.

— Co się pan drze? Nie jestem głucha.

— Ale: Minoga.

— Co, ja jestem Minoga? Pan ubliżasz urzędnikowi, pełniącemu służbę.

Czarna Hrabina poleciała pod stół.

— Ja pana każę zaaresztować za ubliżenie władzy.

Tu lord zaklął brzydkiem zaklęciem, jakiego używają majtkowie w nadmorskich winiarniach, a obrażona „władza" zatrzasnęła okienko i zaczęła wyciągać „Czarną Hrabinę" z pod stołu.

Wyprawa do biura adresowego skończyła się fiaskiem, wobec czego lord polecił Włodkowi poszukiwać Ferdka, gdzie tylko uważa za możliwe.

Nie łatwa to była sprawa w tak wielkiem mieście szukać małego, nieznanego chłopca. Próżne były wyprawy i poszukiwania. Włodek wychodził rano, obiad jadał gdzieś w mieście, a wracał wieczorem zmartwiony i smutny, bo poszukiwania nie dawały rezultatu.

Chłopak pomizerniał, sczerniał, schudł od tej bezustannej bieganiny po mieście.

— I cóż?—zapytywał go lord Ralf wieczorem.

— Nic — smutnym głosem odpowiadał zniechęcony Włodek.

— Podamy ogłoszenie do pism—rzekł lord, a na drugi dzień już było wydrukowane w gazetach, że poszukuje się chłopca o nazwisku Ferdek Minoga, a kto da jakąś wiadomość o nim, otrzyma 200 mk. nagrody.

Zaraz na drugi dzień zgłosił się jakiś pan, że wskaże miejsce pobytu Ferdka, ale żądał 200 mk. z góry. Gdy mu odmówiono, poszedł i nie pokazał się więcej.

Potem przyszła pani, oświadczając, że wprawdzie nic wie nic o Ferdku Minodze, ale ma bardzo dobre skarpetki do sprzedania.

Potem przyszło dwoje państwa, żaląc się, że ich syn nie dostał promocji, bo nauczyciele są bardzo niesprawiedliwi, więc może zamiast Ferdka przyda się ten ich syn, tylko że teraz ma oparzony nos z powodu wybuchu magnezji. Przyczem przysięgali, że ich syn nic nie winien, tylko magnezja.

Następnie zgłosił się kupiec z zapytaniem, czy niema na sprzedaż węgorzy lub łososia, bo na minogi teraz nie sezon.

Procesja interesantów, zwabionych ogłoszeniem, była tak liczna, a tak nic nowego nie przynosiła, że lord po raz drugi użył marynarskiego zaklęcia.

Ogłoszenie w pismach nie dało więc żadnego wyniku, a Włodek stracił zupełnie nadzieję. Lord Ralf zrezygnował już z poszukiwań, a zamierzał wyruszyć w stronę Częstochowy, bowiem podczas wędrówek Włodka po Warszawie zastanawiał się nad swoim planem i powziął pewne decyzje.

Wiedział, że rodzinny majątek Zbrojomirskich leży w okolicy skalistej, a skoro tak, to musi być gdzieś na południu, na północy bowiem niż polski skał nie posiada.

Skały mogłyby być w Tatrach, Pieninach, Karpatach, Łysogórach lub na grzbiecie krakowsko-częstochowskim, że zaś ten ostatni jest od Warszawy najbliżej, przeto od niego należy rozpocząć poszukiwania.

Gdy lord plan swój przedstawił Włodkowi, ten uznał całkowitą słuszność rozumowania, ale oświadczył, że nie może ruszyć bez Ferdka, roboty bowiem przy samolocie jest dużo i dlatego on (Włodek nie samolot) koniecznie potrzebuje pomocy.

Lord Ralf jednak był stanowczy (krew Castelburych zagrała w nim). Na usilne błagania Włodka zdecydował się jednak dać mu jeszcze dwa dni na poszukiwania: jeżeli w ciągu tych dwóch dni Ferdka nie odnajdzie, to wyruszą sami.

Włodek zaczął teraz kombinować, że Ferdek nie może się trzymać w śródmieściu, bo cóżby robiła „rodzinka?" Czy chciałby kto znosić grymasy Azy, szczekanie Trefla i piski Pikusia?

Nie, Ferdek jeżeli tu gdzieś siedzi, to z pewnością na Powiślu, bo tam ludność uboższa, a zwierząt trzymają więcej.

To też cały dzień pierwszy Włodek biegał po Powiślu. Był na Rybakach, na Solcu, zachodził na Dobrą i Browarną – nic i nic. Tu się z niego śmieli, tam opryskliwie odprawili z niczem.

Gdy wrócił wieczorem na Brudno, lord nawet nie pytał o wynik, gdyż czytał go z oczu Włodka.

— Na nic, milordzie, moje zabiegi. Jeżeli nie znalazłem go na Powiślu, to już napróżno szukać dalej. Lepiej wyruszajmy jutro rano.

— O, nie, my dear, przeznaczyłeś dwa dni na szukanie, to szukaj. Jedziemy pojutrze.

31. POD KRZYŻEM SOWIŃSKIEGO.

Na drugi dzień Włodek powlókł się do Warszawy, ale zupełnie bez przekonania. Minął most, plac Zamkowy, Teatralny, wyszedł na plac Bankowy i zobaczył jakąś procesję, kierującą się w Elektoralną.

Tłum był dość liczny i pociągnął ze sobą Włodka, który był tego dnia bez woli.

Procesja przeszła przez Elektoralną, Chłodną, Wolską i dotarła na stary cmentarz, gdzie w 1831 roku usypane były szańce i reduty Woli.

Rozśpiewany tłum wszedł na cmentarz i skierował się pod krzyż Sowińskiego. Włodek szedł ciągle ze śpiewającymi.

Była to jakaś rocznica urodzin czy śmierci bohaterskiego obrońcy Woli: pod krzyżem odśpiewano patrjotyczne pieśni, złożono wieńce, a potem gruby pan profesor Rydelski z przejęciem opowiadał o rycerskiej śmierci generała, o jego sławnem: „oto masz pardon Polaka!", o szturmie Woli i kapitulacji stolicy.

Zgromadzony pod krzyżem tłum wysłuchał wykładu, odśpiewał jeszcze kilka pieśni i zaczął się rozchodzić.

Włodek został sam, a że słońce dobrze prażyło, więc usiadł pod cieniem drzew i myślą zatonął w tej rycerskiej epoce powstania listopadowego.

I zdało mu się, że widzi barwne pułki wojsk, że słyszy granie orkiestr pułkowych, że bębnią tarabany, a piszczałki piskliwy ostry śpiew rzucają w powietrze.

Zwłaszcza ten piskliwy ton drażnił go w uszy, a słyszał go to nad sobą, to z prawej, to z lewej strony, to bliżej, to dalej. Ton piszczałki coraz był głośniejszy i coraz weselszy, jak jakieś radosne śpiewanie ptaka.

Włodkowi śpiew ten jakiś był znajomy, a gdy myślał o armatnich strzałach na Woli, ujrzał przerażony, że leci prosto na niego kula armatnia, co pędzi w same oczy i... już... już... ma uderzyć go... gdy nagle... zmienia bieg i siada mu na ramieniu i w samo ucho piszczy mu jakieś znajome: — tiu, tiu, tiuuu! Fi, fi, fi, fi! cz, cz, cz, ciach, ciach, ciach.

Włodek zerwał się. Kula trochę wystraszona pofrunęła z ramienia na gałąź drzewa, a śpiew spotęgował swą siłę.

— Boże!... krzyknął prawie nieprzytomny ze szczęścia Włodek. — Boże!... Ależ to przecież Pikuś!... Ptaszyno, Pikuś!... A chodźże!... gdzie Ferdek? gdzie mój brat?

Pikuś sfrunął niżej, poleciał na prawo, poleciał na lewo i jak strzała puścił się wzdłuż reduty.

Włodek jak szalony pobiegł za nim. Za rogiem u skrętu wału był dobry cień, a na trawie spał smacznie chłopiec. Obok na słońcu leżała biała, delikatna kotka.

— Ferdek!!

— Uhm, uhm—zamruczał śpiący.

— Ferdek, Ferdek! Wstawaj!

— Czego babcia chceee?

— Ja nie jestem babcią, to ja: Włodek!

— Jaki? uhm, a to mi się spać chce, i takie głupie sny...

— Ależ to nie sen, obudź się, to ja, Włodek od lorda Ralfa...

— Niedobry lord... wypędził... Ferdka... — mruczał chłopiec.

— Właśnie lord przeprasza cię i wzywa, żebyś do nas wrócił.

— Do was? Chcieliście wtrącić mnie do więzienia... com zawinił?

— Już się wszystko wyjaśniło, ależ obudź się nareszcie, boć ty jeszcze śpisz.

Aza już obcierała się o nogi Włodka, Pikuś siedział mu na ramieniu, aż wreszcie i Ferdek rozbudził się, a przyjrzawszy się Włodkowi, krzyknął radośnie:

— Włodek! Jak babcię kocham, Włodek! Skądeś się, brachu, wziął?

— No, od dwóch tygodni szukam cię po całej Warszawie. Cudem jakimś odnalazłem cię, braciszku. Czekamy cię i ruszamy w podróż.

Ferdek spochmurniał.

— Nie pojadę: obgadaliście mnie, do więzienia chcieliście mnie wsadzić niewinnego... com wam zrobił?

— Drogi braciszku, uspokój się i przebacz. Okazało się, że wszelkie nasze niepowodzenia to wynik psot Chochlika.

— Kogo?

— Chochlika, psotnego ducha królowej Gopła.

— Czegoż ten się nas czepia? Nie może nosić ogona za swoją królową?

— A no, właśnie. Przyczepił się do nas, broi, psoci, a nawet mało nas nie uśmiercił.

— No, no. A cóż teraz robi?

— Któż to wie? Nie widać go wcale, bo to trochę mgiełki i nic więcej. Ale teraz ja go zakląłem i zapewne się uspokoi.

— A to ci chryja! Chochlik! Jakiś djabelski Chochlik nabroi, a ty, Ferdku, cierp! Ciebie do więzienia, nie Chochlika.

— Skończ już z tem więzieniem: lord musiał przecież szukać winnego. A któż mógł być winien, Pikuś?

Tu Pikuś tak się nasrożył i tak energicznie strzepnął piórkami, aż Aza spojrzała nań przeciągle i pomyślała:

— Gdy tak nastroszy piórka, to wygląda na zupełnie tłuściutkiego, ale to pozory, pozory.

Usiedli chłopcy w cieniu drzewa, a Włodek rzekł:

— No, braciszku, skoro się już wszystko wyjaśniło, to wracaj do nas, lord czeka cię z niecierpliwością.

— Nie, brachu, nie pojadę.

— Dlaczego?

— Moje stosunki rodzinne zmieniły się zupełnie: dziś nie jestem sam, przybyła mi babcia.

— A, to bardzo szczęśliwie. Winszuję ci, Ferdziu. Ale przecież babcia pozwoli ci jechać z nami?

— Babcia mi pozwoli, ale ja sam nie chcę zostawiać staruszki.

— Przecież do tej pory nie miała cię do pomocy, i było dobrze.

— No, tak, ale skoro ja teraz przybyłem babci, a ona mnie, to sprawy się zmieniły.

— Najlepiej chodźmy do babci i rozmówmy się z nią.

— Dobra.

Wziął Ferdek na ręce Azę, która westchnęła z poświęceniem, Pikuś pofrunął, jak szara kulka, a chłopcy wędrowali z redut Woli do małego domku babci Walentowej.

32. DECYZJA BABCI WALENTOWEJ.

Przez ogrody i zaułki przedmieścia prowadził Ferdek przyjaciela, który opowiadał mu zdarzenia z kompasem i listem Goplany.

Ferdek zdumiony słuchał, a wreszcie rzekł:

— Trzeba więc napisać do tej Gopłówki...

— Goplany...

— Właśnie, właśnie: Goplany, żeby sobie wzięła swego dworzanina.

— Jakże tu napisać? Jak zaadresować? „Najjaśniejsza królowa Goplana, dno jeziora przez Kruszwicę" czy jak?

— To prawda, a to ci paskudnik z takiego Chochlika! Przyczepi się i broi, i rób co chcesz!

Gawędząc, doszli do płotu, za którym rozlegało się wesołe ujadanie psa.

— Oho, poznaję głos Trefla! Trefluś, psinka, chodź do pana, chodź!

Pies poznał głos Włodka i zaczął tak skowyczeć, piszczeć, ujadać i skakać do furtki, aż cały inwentarz babci Walentowej zaniepokoił się, a biały gęsior rzekł do swej małżonki:

— Wściekł się, czy co?

A kaczki chórem odpowiadały:

— Tak, tak, tak, tak!

Babcia Walentowa uchyliła drzwi izby i zobaczyła, że Trefl rzuca się, jak oszalały, na wchodzącego z Ferdkiem chłopca, na co babcia zawołała:

— Już prowadzisz jakiegoś łobuza! Mało masz kotów, psów, szczygłów, jeszcze jakichś włóczykijów sprowadzasz?

Ale Ferdek podbiegł do babci i krzyczał jej w samo ucho:

— Ależ babciuńciu! To nie żaden łobuz, to Włodek.

— Jaki znów Włodek?

— No ten ze Lwa-Orła.

— W imię Ojca i Syna! Jeszcze mi tu chcesz sprowadzić i lwa, i orła! Toż pozjadają mi wszystkie gęsi i kaczki!

— Tak, tak, tak, tak!—odezwał się jednozgodny chór.

Ferdek się śmiał i ciągnął Włodka; ten przywitał uprzejmie babcię, i weszli wszyscy do izdebki.

Tu Włodek wyłuszczył cel swego przybycia.

Babcia jednak zacięła się i oświadczyła, że nie pozwoli Ferdkowi jechać.

— Był z wami, służył temu Buremu wiernie, toście go oskarżyli i grozili więzieniem...

— No, Włodek nie, proszę babci, Włodek nie.

— Może, ale ten wasz angielski pan. Nie, chłopak nie pojedzie. Ja Buremu nigdy nie zapomnę, że mi wnuka sponiewierał.

— A jednak, proszę pani, gdyby nie samolot lorda Ralfa, to przecież Ferdek nie odnalazłby pani.

— Tak, tak, tak!—zakrzyczał za oknem zgodny chór kaczek.

— A sio, wypędź-no je z przed okna. To jest prawda, ale skoro już odzyskałam wnuka, to go nie puszczę.

— Przecież podróż lorda ma się ku końcowi: gdy od najdzie swój zamek, odprawi nas.

— Kiedy to tam będzie!

— Ja myślę, że za parę tygodni. Ferdek wróci i już zostanie przy pani.

— Cóż ty myślisz, wnuku?

— Jak babcia uważa. Ja mam wielką ochotę jechać (Aza gniewnie machała ogonem) i mam wielką ochotę zostać. (Aza zaczęła spokojnie mruczeć).

— Dokądże ten wasz lord Warjatbury wybiera się teraz?

— Do Częstochowy.

— Do Częstochowy... Hm, hm, to znów co innego.

— Czy pani zgodzi się puścić Ferdka?

— Do Częstochowy... czy to można komu nie pozwolić jechać do Częstochowy.

Babcia Walentowa była bardzo zakłopotana, po chwili rozwagi spytała:

— A czy niema tam u was jeszcze jednego wolnego miejsca?

— Rany Boskie! Babcia puściłaby się samolotem?

— Możebym się i puściła: do Częstochowy przecież.. w takiej drodze żadne niebezpieczeństwo nie może grozić.

— Droga babciuńciu, to nie dla ciebie. A kto będzie tu opiekował się gospodarstwem, kto wyżywi biedne gęsi i kaczki?

Za oknem zgodny chór zawołał:

— Tak, tak, tak, tak!

— O, widzisz je, jakie mądre! (Babcia, jak i Ferdek, kochała bardzo wszystkie stworzenia). — Moi kochani, nie jestem ja ci taka, żebym wszystkiego wymagała dla siebie. Jeżeli Ferdek wróci za parę tygodni, to mogę mu pozwolić, ale to tylko dlatego, że do Częstochowy.

— Moja babciuniu kochana. Gdy odbiorę pensję od lorda i wrócę, to posiedzę przy gospodarstwie, a babcia sobie pojedzie na odpust do Częstochowy.

— No, niech będzie i tak. Kiedyż jedziecie?

— Jutro.

— Zwarjowali! Cóż wam tak pilno?

— Lord chce już ukończyć podróż, a czekamy już dwa tygodnie, szukając na wszystkie strony Ferdka.

— Nigdybym się nie zgodziła na jego wyjazd, ale Częstochowa... to przecież nie mogę przeszkadzać, jedź więc, mój wnusiu, i wracaj nam szczęśliwie.

— Tak, tak, tak, tak!

33. NA JASNEJ GÓRZE.

Lord przyjął Ferdka bardzo serdecznie: przeprosił go, uspokoił, wytłumaczył, a na drugi dzień śmigi Lwa-Orła puszczono w ruch i najzupełniej pomyślnie poszybowano.

Żadnych niepokojących oznak nie było, tylko Pikuś raz po raz fruwał na powierzchnię skrzydeł, tam coś się irytował, bił skrzydełkami i wracał, szczebiocąc coś gniewnie.

Minęło południe, gdy w oślepiającym blasku słońca zapłonęło coś wysoko na niebie, jakby złocista gwiazda, czy znak jakiś promienny.

— Krzyż na Jasnogórskiej wieży — objaśnił lord Ralf.

Okolica była tu lekko pagórkowata, wierzchołki wzgórz wieńczyły fantastyczne grupy skał, a gdzie niegdzie snuły się błękitne dymy z pieców do wypalania wapna.

Na jednem wzgórzu o dość płaskim szczycie, blisko kościoła świętej Barbary osiadł Lew-Orzeł.

Chłopcy zostali przy aparacie, a lord Castelbury of Avon and Hampshire poszedł sam do klasztoru.

Czerwone mury twierdzy, masyw kościoła, wyniosła nad nim wieża, mury klasztoru, cudowna kaplica, posąg Kordeckiego, przecudne stacje drogi krzyżowej—wszystko to płonęło w oślepiającej pozłocie popołudniowego słońca.

Błękitnawe dymy otaczały klasztor, jak gdyby unosząc go gdzieś nad ziemię.

Lord stał zdumiony i olśniony.

Usłyszał zbliżający się śpiew: to liczna kompanja z krzyżem i chorągwiami szła, śpiewając pobożną pieśń, z refrenem:

„Maryjo, Maryjo!
O Maryjo Królowo!"

Jasna Góra.

Kompanja przybrana była w pasiaste barwne wełniaki

— Skąd jesteście?—zaczepił lord przechodzących.

— Z Łowickiego — była odpowiedź.

Jeszcze nie ucichł śpiew księżaków łowickich, gdy nadciągnęła nowa kompanja z tą samą pieśnią.

— Skąd jesteście?

— Od Krakowa.

I tak szły kompanje za kompanjami, a lord pytał się ciągle i słyszał odpowiedzi:

— Z pod Wilna, z Hrubieszowa, od Tatr, Ślązacy, Kujawianie, z Podlasia, z Cieszyna — i tak ciągle i ciągle, a każda z tych kompanij jednaką śpiewała pieśń:

— Maryjo, Maryjo!
O Maryjo Królowo!

Lord chodził oszołomiony.

— Ależ to cała Polska tu się gromadzi — myślał sobie, patrząc, jak gromada za gromadą pobożnych pielgrzymów wkraczała pod łuk bramy Lubomirskich i ginęła w obrębie murów klasztoru.

— No, no, — rozmyślał — słyszałem zawsze o pobożności Polaków, ale to, co widzę, to przechodzi wszelkie opowiadania. Oni zaiste życie daliby za Jasną Górę.

Za jakąś kompanją wszedł lord w obręb murów. Tu potok pobożnych porwał go z sobą i poniósł. Z początku próbował się opierać, lecz wkrótce ogarnął i jego ten zapał religijny i dążył z innymi nie jako widz i obserwator, lecz jako wierny i pobożny pielgrzym.

Potok poniósł go aż pod sklepienia kaplicy. Tu pątnicy padali w ekstazie na twarz, inni leżeli krzyżem, a o bogato rzeźbione i barwnie malowane sklepienia odbijał się jakiś napoły jęk, napoły śpiew, a jako całość zachwyt i uwielbienie.

Każde usta szeptały modlitwy, każde piersi wydawały jęki i westchnienia. Znać było, że każdy przybysz musi się swej Matce i Opiekunce użalić, wybłagać, uprosić, nadziękować.

A nad rozmodlonym tłumem w sukni mieniącej się od klejnotów, w koronie na głowie, w blasku jarzących się świateł patrzyła na swój lud ciemna twarz Najświętszej Panny, pełna powagi i smutku, ale w oczach widać było dobroć, widać było blaski otuchy i miłości.

Lord stał i szeptał coś: czy to była modlitwa, czy prośba, czy dziękczynienie, nie wiedział sam, jak nie widział też, ile czasu spędził w kaplicy.

Gdy wreszcie wyszedł stamtąd, popatrzył na te gmachy, wieże, złociste krzyże, figury świętych, na snujące się rozmodlone tłumy, oświecone promieniami zachodzącego słońca.

— Ukochana moja matko, — rzekł półgłosem lord Ralf — teraz pojąłem i zrozumiałem ducha twojego narodu, teraz odczułem, co to jest Polska.

Gdy wrócił do samolotu, chłopcy się uradowali:

— Tak długo nie było cię, milordzie, baliśmy się, żeś gdzieś zginął.

— Ja się właśnie odnalazłem — rzekł z tajemniczym uśmiechem lord Ralf, a w duszy mu grał hymn:

„Maryjo, Maryjo!
O Maryjo, Królowo!"

34. ROZWIĄZANIE ZAGADKI.

Na drugi dzień rano obaj chłopcy poszli na nabożeństwo do kaplicy Matki Boskiej, a potem zwiedzali klasztor. Oprowadzał ich jeden z zakonników, ojciec Paweł: zabrał ich do sali rycerskiej, gdzie odmalowane są najważniejsze sceny z życia Jasnogórskiego klasztoru.

Najbardziej zajęły chłopców obrazy, dotyczące sławnego oblężenia przez Szwedów. Prawdziwie cudowna obrona Częstochowy zapalała w ich sercach i umysłach wielkie myśli i chęć wiernej służby dla ojczyzny.

Ojciec Paweł zaprowadził ich do skarbca, gdzie widzieli ornat, haftowany przez królową Jadwigę, krzesło Kazimierza Wielkiego, przeróżne pamiątki, klejnoty, rzeźby i różne skarby, złożone tu przez monarchów i dostojników.

Poszli później do bibljoteki. Tu ojciec Paweł był w swoim żywiole, lubił bowiem niezmiernie stare księgi i rękopisy, a lada szpargał pożółkły miał w nim gorącego opiekuna i przyjaciela.

— Tożby się ojciec dobrał z naszym lordem: on też tak się kocha w starych pismach, a ma jedną starą kartkę, którą często próbuje odczytać, ale nie może, bo to jest pisane nie literami, tylko cyframi.

— O, czy być może?—rzekł ojciec Paweł—a to ciekawa rzecz, co to takiego? Czy lord Castelbury nie będzie tutaj?

— Wątpię, bo już był wczoraj.

— A to szkoda, żeśmy się nie poznali: ja prawie całe swoje życie spędziłem na rozwiązywaniu cyfrowanych dokumentów i nabrałem dużej wprawy w ich odczytywaniu.

— Co za szczęście! Możemy lorda tu poprosić, będzie z pewnością bardzo uradowany. Pobiegnij, Ferdek, do samolotu i zostań tam, a lorda Ralfa poproś tu do klasztoru.

— Zrobione!

Jak strzała pobiegł Ferdek do Lwa-Orła i zdaleka wołał:

— Panie milord, panie milord, gdzie pan ma ten papierek, co to pan wie?

— Jaki papierek?

— No ten, z rachunkami.

— Bardzo dużo mam takich papierków.

— No, ale ten najważniejszy, co to przodek napisał, czy ktoś tam.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— O, rany Boskie! No przecież ten, co tam jest popisane trzy razy pięć osiemnaście, nie wie pan?

— Nasze gniazdo?

— A czy ja tam wiem, czy takich papierków używa się w gnieździe?

— No, ale mówże: do czego to potrzebne?

— A przecież wyraźnie mówię: jest taki stary ksiądz, co umie czytać.

— Bardzo dużo jest takich.

— Ale rachunki.

— Eh, opowiedz wszystko o co idzie? Gdzie Włodek?

— Włodek został z ojcem.

— Co, to przyjechał ojciec Włodka?

— Nie, tylko z ojcem Pawłem, zakonnikiem od starych szpargałów.

— A ciebie przysłali po mnie?

— No tak, przecież od początku to mówię wyraźnie.

— All right!

Szybko podążył lord do bibljoteki, gdzie Włodek razem z zakonnikiem czekali.

— Zaciekawili mnie chłopcy opowieścią, że posiadasz, milordzie, jakąś tajemniczą, cyfrowaną kartkę, której nie możesz odczytać.

— Yes, to stary rodzinny świstek, który jednak stanowi cel mojej wyprawy do Polski.

— Bardzo będę rad, jeżeli będę mógł usłużyć wam, lordzie Ralfie.

— Oto jest ta mała notatka.

Na pożółkłej już kartce ojciec Paweł czytał:

Gniazdo nasze.

Gdzie 17, 9, 12, 9, 3, 1 ma swe źródła, gdzie 17, 9, 12, 9, 3, 1 wznosi swe mury, ród Zbrojomirskich usłał gniazdo swoje. Imię jego: 19, 14, 16, 12, 5, 15'. Widać zeń 16, 7, 18, 16, 4, 24, 9, 5, 15, 9, 5, 3, orle gniazdo 2, 16, 15, 1, 18, 16', 22.

Chwilę zastanawiał się paulin nad kartką, a potem śmiejąc się rzekł:

— Niezbyt to trudna zagadka, milordzie: myślałem, że napotkamy na niezwalczone trudności, ale na szczęście sprawa jest prostsza, niż się wydawało, uważajcie!

Zasiedli wszyscy trzej przy stole, a ojciec Paweł mówił:

— Tutaj oto na miejsce cyfr trzeba podstawić litery. Klucze cyfrowane są rozmaite, ten oto należy zdaje mi się do najprostszych: litery abecadła mają tu kolejne cyfry od 1 do 24. Nie znajdziecie tu cyfry wyższej nad 24.

— Rzeczywiście, z pięciu wyrazów cyfrowanych tylko w czwartym jest ta najwyższa cyfra 24.

— A teraz uważajmy: spotykamy tu nazwę rzeki i taką samą nazwę miasta, wyrazy bowiem pierwszy i drugi są zupełnie jednakowe.

— Oh, yes.

— Najważniejsza dla nas nazwa rodzinnego gniazda składa się tylko z sześciu liter, przyczem ostatnia jest zmiękczona, musi to być więc albo ś, albo ń, albo wreszcie ź.

— W ostatnim wyrazie też widać znak zmiękczenia — wtrącił Włodek.

— No, nie wiadomo, może to być ó.

— Very interesting.

— Ale dla ułatwienia spróbujmy sobie wypisać cały alfabet, to nam znakomicie ułatwi robotę, pisz, Włodku, abecadło, a pod niem kolejne cyfry.

Włodek posłusznie wziął się do roboty i pisał:

a	*b*	*c*	*d*	*e*	*f*	*g*	*h*	*i*	*j*	*k*	*l*	*ł*	*m*	*n*	*o*	*p*
1	*2*	*3*	*4*	*5*	*6*	*7*	*8*	*9*	*10*	*11*	*12*	*13*	*14*	*15*	*16*	*17*

r	*s*	*t*	*u*	*w*	*y*	*z*
18	*19*	*20*	*21*	*22*	*23*	*24.*

— O, miał ojciec zupełną rację: litera *z* oznaczona jest przez cyfrę *24.*

— Very interesting.

— Weźże teraz podstaw zamiast cyfr litery, i zagadka będzie rozwiązana.

Włodek szybko i zręcznie spełnił polecenie, poczem czytał:

— Gdzie Pilica ma swe źródła, gdzie Pilica wznosi swe mury, ród Zbrojomirskich usłał gniazdo swoje. Imię jego *Smoleń*. Widać zeń Ogrodzieniec, orle gniazdo Bonarów.

— A więc ukochana moja matka urodziła się w Smoleniu! Jakże ci jestem wdzięczny, pobożny ojcze, za rozwiązanie zagadki. Zaraz dzisiaj pojedziemy tam: tak pragnę obejrzeć tę drogą dla mnie pamiątkę.

— Bóg z tobą, synu.

Lord Ralf pożegnał się z zakonnikiem i zabrał Włodka. Przystanęli chwilkę pod pomnikiem Kordeckiego na wałach twierdzy i pośpieszyli w stronę kościoła świętej Barbary, gdzie stał samolot.

— Do Smolenia! All right!

35. PIKUŚ BOHATEREM.

Gdy dochodzili do Lwa-Orła, wybiegł naprzeciw nim Ferdek z miną zrozpaczoną.

— Wielkie nieszczęście, wielkie nieszczęście! — wołał.

— Co się stało takiego?

— Wściekł się, zupełnie się wściekł!

— Trefl?

— Nie, Pikuś.

— Ależ ptaki się nie wściekają.

— Może zwyczajne, ale Pikuś?

— No, to też zwyczajny szczygieł.

— Ty sam jesteś zwyczajny szczygieł.

— Ale cóż się stało?

— Oto Pikuś już długą chwilę coś wyprawia na skrzydle: goni kogoś, dziobie, skrzeczy, piszczy, słowem, wściekł się zupełnie, bo tam nikogo niema.

— Nie jest to przecież bez racji: chociaż my tam nikogo nie widzimy, to jednak może Pikuś widzi lub wyczuwa swoim subtelnym instynktem ptasim, który jest przecież o wiele delikatniejszy od naszego.

Na powierzchni skrzydła zawrzało znów coś niby bójka, niby gonitwa. Pikuś wrzeszczał, jak opętany, fruwał, bił skrzydłami, dziobał zajadle, uganiał się po obszernej, białej powierzchni skrzydeł, wreszcie odfrunął zmęczony.

— O, tchórz z Pikusia, uciekł z pola bitwy, boć niewątpliwie bił się z kimś i uciekł.

Patrzyli za nim, dokąd frunął. Szybki swój lot Pikuś skierował w stronę kościoła świętej Barbary.

Na samolocie nastała cisza, ale tylko chwilowo, bo Ferdek krzyknął:

— Patrzcie, patrzcie, wraca już, wraca!

Jakoż Pikuś szybko i zwinnie frunął w stronę samolotu, a gdy przybył, na skrzydłach zawrzała jeszcze gorętsza walka: Pikuś na kogoś nacierał, pędził kogoś niewidzialnego ku krawędzi skrzydła. Zmęczony był już tak, że u dziobka widać mu było krople wody, ale z zaciętością parł swego jakiegoś nieprzyjaciela ku krawędzi.

W pewnym momencie widocznie swego wroga zepchnął ze skrzydła, bo i sam rzucił się za nim na ziemię, bił skrzydełkami po ziemi, odpędzał kogoś coraz dalej od samolotu, aż wreszcie odpędził go zupełnie.

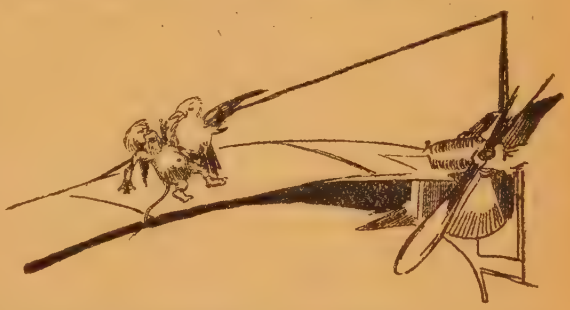

Spełniwszy swoje zadanie, wrócił do Lwa-Orła, usiadł na pręcie nad motorem i zaśpiewał pieśń triumfu.

— Co on wyśpiewuje, ten warjat? — zapytał Trefl Azy, wyciągniętej na ciepłej blasze motoru.

— Et, drze się, jak stare prześcieradło. Bohater! Krzyczy, że zbił i wypędził jakiegoś tam Chochlika, który ciągle tu psocił.

— Wypędził Chochlika? To bardzo dobrze, bo ten gałgan niemało narobił przykrości lordowi i Ferdkowi.

— Czy tak? Nie wiedziałam; stan mego zdrowia nie pozwala mi się zbytnio wzruszać — tu Aza westchnęła, dodając: — ale też daleko i wysoko usiadł.

Tymczasem Pikuś śpiewał swój hymn pochwalny:

— Myślał Chochła, że mu nie dam rrrrady! A ja też wiem sposoby rrróżne! Pod kościołem świętej Barrrbarry bije źrródło z cudowną wodą. Kiedy nie mogłem dać rrady

Chochlikowi, pofrrrunąłem po wodę i pokrrropiłem go. Ależ wrzeszczał! Hi, hi, hi! Dałem rrradę Chochli-li-li-ko-wi!

Aza zainteresowała się.

— Chociaż stan mego zdrowia nie pozwala mi wzruszać się, jednak radabym wiedzieć, co się z nim stało nareszcie?

— Bęc, bęc, ze skrzydła na ziemię-mię-mię. Złamał sobie oko-ko-ko!

— I co? Leży tam gdzie jeszcze?

— Za barrrdzo cię to interrresuje! Wziął go jakiś drrrugi za karrk! Hi, hi, pi, pi, pi, fit, fit.

Aza ziewnęła i mrucząc, ruszała ogonem, co było oznaką niezadowolenia.

A Pikuś mówił prawdę, bo przyszła kompanja z Broniszewa nad Gopłem, a za nią jechał wóz z rzeczami pątników. Na ten wóz zabrał się w drogę Skierka, któremu kazała Goplana po całym kraju szukać Chochlika i za wszelką cenę tego buntownika dostarczyć.

Zaledwie wóz dojechał do Częstochowy, gdy Skierka ujrzał samolot i lotem strzały dążył ku niemu. Trafił właśnie na moment, gdy bohaterski Pikuś zwycięsko walczył z Chochlikiem i strącił go na ziemię.

Skorzystał z tej okazji sprytny Skierka i chwycił swego kompana mocno za kark, a chociaż Chochlik groził: — ej, bo cię urzekę, — Skierka silnie trzymał go. Zmęczony po długiej walce z Pikusiem Chochła nie miał siły bronić się i rad nie rad pogodził się z rzeczywistością.

Skierka władował zbiega na wóz, związał trawką tonki wonnej, rzucił na skrzynkę koło kubełka na wodę i czekał powrotu nad Gopło.

Rozprawa z królową była bardzo smutna: Goplana, zobaczywszy Chochlika, wcale nie chciała z nim rozmawiać, wydała tylko dyspozycję:

— Zamknij Chochlika, Skierko, w muszli żabiej
I na jezioro puść, by kota w łodzi...

Przerażony duszek wołał:

— O, pani! pani! lepiej ty mnie zabij!

— Zabić nie mogę, lecz muszę ukarać,
— Pójdź, panie Chochło, o łódkę się starać...

zakończył Skierka.

Podobno Goplana nie przebaczyła jeszcze dotychczas Chochlikowi, i do dzisiejszego dnia pływa on jeszcze po Gople, w starej muszli zamknięty, on, co tak lubił krążyć po świecie.

A na pręcie samolotu śpiewał Pikuś pieśń zwycięstwa.

— Widzisz, — mówił Trefl do Azy — on wypędził tego psotnika, coś przez niego spadła na Jankla Harmidera.

— Poczciwiec, zjadłabym go z wdzięczności.

— Harmidera?

— Nie, fe... Pikusia.

Jasne promienie słońca odbiły się od złocistego krzyża na Jasnogórskiej wieży, poweselał cały świat: lord poklepał przyjaźnie Ferdka po ramieniu, Włodek bawił się z Treflem, Pikuś puszył się i śpiewał, tylko Aza wzdychała:

— Gdyby nie moje zdrowie...

Lew-Orzeł prostował swe białe skrzydła, jakby rozwijając je do lotu. Radość ogarniała wszystkich, a lord wesoło wołał:

— No, chłopaki, do Smolenia! do Smolenia!

36. GNIAZDO RODZINNE.

Już słońce minęło najwyższy punkt swego biegu, gdy lord Ralf puścił w ruch śmigi samolotu, kierując go na południowy wschód od Częstochowy.

Cała okolica tonęła w blaskach i pogodzie, a ziemia wyglądała jak sfalowane i skamieniałe morze: wszędzie pagórki o zboczach zielonych i szczytach jasno-szarych, prawie białych.

Każde wzgórze koronowała grupa fantastycznych skał o dziwacznych kształtach, jak gdyby baszt i murów, jak gdyby ruin zamczyska.

Często bardzo były tam rzeczywiste ruiny tak dziwnie spojone ze skałami, że trudno było rozróżnić, co jest kamienną bryłą, a co stworzył człowiek.

Lord Ralf miał przed sobą mapę i wskazywał chłopcom ciekawsze miejscowości tego wapiennego grzbietu.

Samolot nadfrunął ku okazałym ruinom zamku:

— Olsztyn — objaśnił lord.

— Ach, tu kopali srebro — zauważył Ferdek.

— Ależ skąd, mylisz się: srebro kopano nie w Olsztynie, lecz w Olkuszu.

— To prawie wszystko jedno.

Jak naprzykład Trefl i Aza. Tu w Olsztynie bronił się Kacper Karliński przed Austrjakami.

— Wiem, wiem, zastrzelił ciotkę, a zamku nie oddał!

— Ależ nie ciotkę, tylko własne dziecko; czy nie pamiętasz, co powiedział przy tem, takie piękne zdanie...

— Pamiętam doskonale, hej, ramię do ramienia! wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko!...

— Co ty pleciesz? przecież to Oda do młodości.

— Ach, tak. Prawda. Oda do miłości.

— Otóż Kacper Karliński powiedział: — pierwej byłem synem ojczyzny, niż ojcem tego dziecka — i przyłożył lont do działa.

— Ach, teraz przypominam sobie: Australijczycy porwali mu niańkę z jego synkiem...

— Austrjacy, nie Australijczycy.

— To wszystko jedno.

Samolot daleko już pozostawił za sobą szare mury Olsztyna, już nowy widok nasunął się przed oczy: Lew-Orzeł pędził nad cudną zielenią bukowych lasów, nad taflami stawów, połączonych rzeczułką.

— Złoty Potok,— mówił lord — mają tu hodowlę pstrągów, wybornych ryb.

Samolot pędził dalej, a lord objaśniał:

— Mirów, — po chwili — Bobolice — były to dwa sąsiednie zamki, jak orle gniazda usłane na szczytach wzgórz.

Szły dalej ruiny Morska i dziwaczna skała Okiennik w Skarżycach, wreszcie ukazało się zamczysko olbrzymie, rozbudowane na szczytach rozległego wzgórza. Kilka wyniosłych baszt, wspaniała brama wjazdowa, a nad nią szczątki kaplicy, dwa czy trzy dziedzińce zamkowe, słowem majestatyczne, wielkie były to ruiny.

Lord Ralf szukał na mapie, wreszcie rzekł:

— Ogrodzieniec.

Zamek w Ogrodzieńcu.

Jakoż było to jedno z najwspanialszych zamczysk w Polsce, kunsztownie pobudowane na skałach.

— Tajemnicza kartka nazywa ten zamek gniazdem Bonarów – mówił lord.

— Tak nazywają, chociaż zamczysko o wiele, o wiele jest starsze od Bonarów: jeszcze w dobie przedhistorycznej był tu już drewniany zamek, ale za Kazimierza Wielkiego wzniesiono mury. Włodek z Ogrodzieńca był zaufanym dworzaninem królowej Jadwigi, a w Zygmuntowskiej dobie nabyli te majątki bogaci mieszczanie krakowscy Bonarowie i cały zamek przerobili. Nadali mu oni te piękne formy, które zostały do dziś, choć to od szwedzkich wojen kompletna tu ruina.

Po objaśnieniach Włodka lord opuścił samolot na wielki dziedziniec zamkowy i rzekł:

– Jeżeli tajemnicza kartka opiewa, że ze Smolenia widać Ogrodzieniec, to i z Ogrodzieńca powinno być widać Smoleń, nieprawdaż?

Weszli tedy na najwyższą basztę zamkową i przez lunetę polową rozpatrywali się po okolicy. Dookoła były

pagórki, na których sterczały fantastyczne grupy skalne Trudno jednak było zdaleka określić, czy to skały, czy też ruiny.

Ferdek, który wziął właśnie lunetę, zawołał:

— A ja widzę miasto... parę kościołów... zamek... i rzekę.

— To napewno Pilica i miasto, i rzeka, a tam gdzieś koło niej leży i dom mojej matki: Smoleń. Ruszajmy w drogę, tak pragnąłbym dotrzeć już do tego gniazda.

— Milordzie, ciemne chmury pokrywają horyzont, zapewne będzie burza.

— Żebyś czasem znów nie zleciała na Harmidera — ostrzegał Trefl Azę.

— Oh, nie wspominaj mi tego wypadku: moje nerwy roztrzęsły się wtedy całkowicie. Gdyby nie stan mojego zdrowia...

— Sądzę, że przed burzą staniemy na miejscu — zdecydował lord Ralf, zasiadając u steru.

Włodek puścił śmigi, samolot ruszył.

— Ty jesteś teraz Włodek z Ogrodzieńca, zaufany dworzanin królowej Bony, czy jakiejś tam — śmiał się Ferdek do przyjaciela.

Lord Ralf prowadził Lwa-Orła nad pasmem wzgórz, nie wiedząc jednak, na którem z nich stoi Smoleń.

— Trzebaby lądować w Pilicy i zapytać ludzi — radził Włodek.

— Nie, mój chłopcze, zdam się na przeczucie: czyżbym nie odczuł, gdzie mieszkali moi przodkowie?

Wśród szeregu pagórków wyróżniał się jeden swą prawidłową formą ostrokręga, uwieńczonego okrągłą, wysoką wieżą. Zbocza pagórka pokrywał gęsty las bukowy, a mury zamku stanowiły jak gdyby koronę, wieńczącą wzgórze. Całość robiła wrażenie nadzwyczaj efektowne, zwłaszcza w tym momencie, gdy część widnokręgu pokrywała czarna chmura burzy, a zamek i wzgórze kąpały się w pełni słonecznego blasku.

— To tam, niewątpliwie tam, — mówił lord — słoneczne to i jasne nawet wpośród burz; taką właśnie była ukochana moja matka.

Do tego właśnie wzgórza sterował lot swój Lew-Orzeł, a po godzinie bystrego lotu lądował na polu u stóp wzgórza. Rozległy się wtedy pierwsze grzmoty nadchodzącej burzy.

Lord Ralf wyskoczył lekko z łodzi samolotu, a na białej tablicy na wzgórzu wyczytał krótki napis: „Smoleń".

— Smoleń, Smoleń! Gniazdo mego rodu! Kolebka mojej drogiej, niezapomnianej matki!

Angielska powaga i sztywność opuściły lorda Ralfa: wspomnienie matki napełniło go tkliwością. Biegł na wzgórze jak chłopiec, pędzący na wakacje.

— Tu, po tej drodze biegała moja mateńka, gdy była małą dziewczynką. Liście tych drzew muskały jej włosy; drogie moje liście, całuję was, jakbym całował złociste warkocze mamy.

Po przykrym stoku wzgórza biegł lord Ralf wąziutką ścieżką ku zamkowym murom.

— Tu niewątpliwie siadywała sobie, zachwycając się okolicą, o ten zrąb muru opierała głowę, swoją złocistą dziecięcą głowinę.

Lord przypadł ustami do muru, o który opierała się kiedyś główka jego matki. Ralf zatopił się w myślach: dziadek Zbrojomirski, jego rycerskie dzieje, wiotka postać matki, jej życie, te cudne chwile, spędzone u jej stóp... wszystko, jak sen snuło się przed jego oczyma.

— A więc to stąd wziętabyła ta ziemia, którą tam daleko, pod mglistem niebem Anglji sypałem na ich ukochane trumny... ta sama ziemia... droga... najdroższa ziemia polska...

Wspomnienia ukochanej matki zaćmiły wszystkie myśli o ojcu, o Anglji, lord Ralf był w tej chwili Polakiem, czystej krwi Polakiem. Ciotka, lady Agata napewno nie poznałaby swego bratanka.

Długo siedział lord Ralf na złomie zamkowego muru, zatopiony w myślach, aż pierwsze grube krople nadciągającej burzy zbudziły go z marzeń. Zbiegł szybko do samolotu, który chłopcy mocno przywiązali do drzew, aby go burza nie porwała. Pod tęgiemi skrzydłami Lwa-Orła bezpiecznie siedzieli sobie wszyscy, aby przeczekać burzę,

której grzmoty echem rozlegały się wśród skał i ścian zamkowych.

— Miło jest, gdy tak siedzimy sobie wszyscy razem — mówił Ferdek, głaszcząc mruczącą Azę — Trefl, chodźno tu do mnie.. Trefl, Trefl!

Ale napróżno Ferdek wołał swego ulubieńca: Trefla nie było... w łodzi samolotu nie było go, a wołania głuszył świst wiatru i huk grzmotów.

— Przepadło gdzieś moje drogie psisko... — ze łzami mówił Ferdek—pewno już nie znajdzie się, pewno wśród burzy zginie; biedna moja droga psina, gdzie ona się znajduje?

37. DZIWNE ODKRYCIE.

Burza, acz bardzo silna, była krótkotrwałą. Jeszcze słońce nie zapadło, gdy czarne chmury przewaliły się gdzieś za wzgórza, a niebo zajaśniało przeczystym lazurem.

Z gałęzi buków, z gęstwiny krzewów spadały perliste krople deszczu, a te, co nie spadły, grały tęczą barw, załamując promienie słoneczne.

Lord Ralf pisał coś w swym notatniku, a chłopcy wybrali się na wzgórze szukać śladów Trefla.

Napróżno jednak przebiegali wszystkie ścieżki lasu i zaułki murów, napróżno obejrzeli wszystkie załamy skał i szczeliny wśród kamieni.

Wszystkie usiłowania były bez rezultatu: Trefla nie było, na nawoływania pies się nie odzywał.

Po zboczach wzgórza pieniły się bystre potoki z owej rzęsistej ulewy; czyniły one głębokie wyrwy w ziemi i kamieniach, odsłaniając głębsze pokłady, ukryte od wieków pod powierzchnią.

Już słońce ginęło za widnokręgiem, gdy chłopcy po raz już chyba dwudziesty przebiegali wzgórze, nawołując bezskutecznie Trefla.

Gdy jednak teraz przebiegali koło jednej szczeliny w skałach pod murem, usłyszeli jakby stłumiony jęk, czy skomlenie, wychodzące gdzieś z głębi ziemi.

Głos ten zastanowił ich. Ferdek pochylił się nad szczeliną i słuchał uważnie: z wnętrza ziemi dochodziło wyraźne skomlenie.

— Trefl, Trefl!—wołał Ferdek.

Z głębi ziemi odezwało się żałosne skomlenie.

— On tam jest, on tam jest! — wołał Ferdek do Włodka.

Włodek zaczął uważnie oglądać szczelinę i spochmurniał.

— Czegoś się zasmucił?

— Nic, nic; ale jednak tak jest.

— Co jest?

— Krew... patrz tu koło szczeliny.

— Prawda... o rety! może Trefla napadł jaki zwierz?

Ferdek nachylił się nad szczeliną i zaczął wołać psa. Odpowiadało mu wyraźne skomlenie, bardzo żałosne i jakby stłumione.

— On jest gdzieś głęboko i nie może wyjść — mówił Włodek.

— Pewno poraniony... pokrwawiony... zabity!

— Ależ, gdyby był zabity, toby nie skomlił.

— Ach, prawda. Cóż teraz robić?

— Możnaby wyłamać większy otwór i przecisnąć się tam w głąb, aby poszukać psa.

— O, to, to, właśnie! Ja tu nawet mam gdzieś scyzoryk...

— Żartujesz, co tu scyzoryk pomoże? Tu trzeba dobrego kilofa, a teraz noc zachodzi już, więc nic nie zrobimy.

— Ale do rana pies może zdechnąć, ja nie mogę czekać, idź przynieś z samolotu drąg żelazny, młot i lampę.

Posłuszny dyspozycjom przyjaciela pobiegł Włodek do samolotu, a Ferdek tymczasem czule przemawiał do uwięzionego Trefla:

— Psinka, nie bój się, rozsadzimy tę paskudną skałę. Piesek wyjdzie sobie... Aza kazała ci się kłaniać... Czemu ty nie pilnowałeś samolotu, tylko biegałeś, aż wpadłeś w tę brzydką przepaść... Trefluś, Trefluchna moja tofana... Poszedł Włodek po kilof... Zaraz odbijemy psa z niewoli, zaraz...

Trefl skomlił, ale mniej żałośnie, a nawet zaczął poszczekiwać, wierząc, że go pan w nieszczęściu nie opuści.

Tymczasem Włodek nadbiegł z kilofem, młotem i acetylenową lampą o silnem świetle.

— Najpierw musimy zajrzeć, co tam jest w tej norze — rzekł Włodek i skierował światło w szczelinę.

— Cóż, żyje?—pytał Ferdek.

— Zajada coś z apetytem, jakiegoś zwierzaka.

— Może strusia?

— Eh, także coś! skądżeby tu wziął się struś? Jeżeli się nie mylę, to chyba królik... tak, tak... Trefl zajada królika.

Co to za szczęście, że królik jego nie zjadł!

— Nic innego, tylko Trefl zapolował sobie na królika i w zapale wpadł za nim w szczelinę.

— Czekajno, mój złociutki, niech ja go zobaczę.

Wąska szczelina w głębi wzgórza rozszerzała się znacznie i tworzyła pieczarę, w której można było wygodnie chodzić. Widział Ferdek swego ulubieńca, który na wołanie podbiegł nawet ku wejściu do jaskini, ale otwór był nad gładką śliską skałą, więc pies wydostać się nie mógł.

Nagle Ferdek, rozglądając się po jaskini, której różne punkty oświetlał promieniem lampy, zawołał:

— Ależ tam się coś świeci i błyszczy... tak coś, jakby jasne, żółte krążki... jakby pieniądze, czy co?

— Eh, skądby się tam znów pieniądze wzięły? królik je zbierał, czy co? Weźmy-no się do roboty, aby wybić większy otwór, wejść i wyciągnąć psa.

Zabrali się chłopcy do pracy: młot i kilof nie próżnowały, skała kruszyła się łatwo, wreszcie duży blok podważono tak, że zachwiał się.

— Wiesz, co to było? Dawniej musiał tu być otwór większy, a później albo obsunął się z góry ten blok, albo umyślnie go podtoczono, aby zatarasować wejście.

— Może być, ale poco to?

— Aby ukryć wejście do pieczary.

Jeszcze kilka podważeń kilofa i nasunięty blok kamienny uchylił się, otwierając łatwy dostęp do pieczary.

Ferdek wskoczył pierwszy, wołając Trefla. Ten popędził ku niemu wesoło, szczekając radośnie.

Teraz wszedł do pieczary Włodek, pogłaskał wesoło skaczącego Trefla i zaczął rozglądać się po jaskini.

Snop światła lampy padł na jeden z rogów groty i zamigotał tam tęczowemi blaskami promieni. Chłopcy podbiegli w róg pieczary i stanęli zdumieni: przed nimi leżały skarby, bajeczne jakieś klejnoty, brylantowe guzy, wysadzane rubinami rękojeści szabel, zmurszałe pochwy, sadzone bezcennej wielkości szmaragdami, złociste pasy, przepyszne rzędy na konie, agrafy do czapek, usiane diamentami, pierścienie, połyskujące tęczą barw, karbunkuły, kolje urjańskich pereł, ciężkie zausznice prababek, a wszystko to usiane gęsto złocistemi krążkami dukatów.

Cały skarb leżał rozsypany wśród rdzy i odłamków żelaza.

Widocznie była to skrzynia pełna klejnotów: wilgoć pieczary rdzą przegryzła skrzynię, a skarby rozsypały się. Królował nad niemi królik, który jednak wolał listki świeżej sałaty, niż bezcenne klejnoty świata.

— Cóż teraz będziemy robili?

— Idź, poproś lorda, niech przyjdzie zobaczyć i poradzi, co czynić.

Ferdek, wziąwszy ze sobą Trefla, pobiegł do samolotu, gdzie lord jeszcze pisał przy stoliku.

— O, rany! Panie milord! Co się stało: Trefl odkopał skarby. Jesteśmy teraz bogaci, okropnie bogaci!

Lord teraz z angielską flegmą wysłuchał opowieści i wolno poszedł ku pieczarze.

Gdy wszedł i zobaczył skarby, zastanowił się głęboko i rzekł:

— Należałoby poszukać, czy niema tu jakiego dokumentu, objaśniającego nam pochodzenie skarbu.

Chłopcy zaczęli przebierać i rozgarniać klejnoty; raptem Ferdek zawołał:

— O, jakieś złote pudełko!

Rzeczywiście, wśród skarbów znaleziono spore pudełko, zrobione ze złotej blachy. Było ono jednak szczelnie zamknięte i nie można było go otworzyć. Lord Ralf, jako zdolny mechanik, próbował naciskać różne guziczki i znaczki na pudełku; ale napróżno. Wreszcie natrafił na turkus, stanowiący środek ornamentu z drogich kamieni; lord silnie nacisnął turkus, wierzch pudełeczka zgrzytnął, odsunął się i odsłonił wnętrze. We wnętrzu leżał pożółkły pergamin.

Lord Ralf ostrożnie rozwinął go i czytał:

„In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. Ktokolwiek bądź rozewrzesz to pudełko, wiedz, iż skarb ten przechował Przecław Zbrojomirski, starosta wolbromski, po wiktoryey wiedeńskiey. Z namiotów Kara-Mustafy ta zdobycz pochodzi, a król Jegomość przykazywał mi na potrzebę miłey oyczyzny przechować te kleynoty. Potomku moy, nie waż się brać coś dla swoiey potrzeby, ieno oddaj oyczyźnie. A ktoby nalazł ten skarb, ma dostać ieden dukat z Matką Boską należnego Słuchay, potomku moy, woli twego pradziada. Bóg cię ochraniay. Amen. Przecław Zbrojomirski, sta. wolbromski ręką swą. Dan w Smoleniu w sobotę po świętey Dorocie roku zbawienia MDCXC".

— Ależ to zaiste dawne dzieje przemawiają do nas: przodek mój, co z królem Janem pod Wiedeń chodził i Turków rozgromił. Wolę jego uszanuję: skarb oddamy Ojczyźnie. Tak mi dopomóż Bóg!

— A pod względem tego dukata z Matką Boską to jakże będzie? — zapytał Ferdek.

— Któż pierwszy dotarł do skarbu?

— Proszę milorda, Trefl, ale jako, że on nie nosi kieszeni w ubraniu, to mogę go wyręczyć.

— Prawdę mówiąc — wtrącił Włodek — to klejnoty zobaczył pierwszy Ferdek.

— Jemu więc słusznie należy się nagroda. Duchu mojego przodka, oto wręczam, zgodnie z twą wolą, dukata należnego Ferdkowi Minodze.

Ferdek przyjął dar z nadzwyczajną radością i dumą. Posiadać złoty dukat i do tego z Matką Boską!

— Jak myślisz, Włodek, czy za tego dukata będę mógł kupić sobie domek z ogródkiem?

— Bardzo wątpię—była odpowiedź.

Jednakże Ferdek był uszczęśliwiony, zmieniał tylko plany sprawunku: to miał zamiar kupić konia, to samolot, to mleka dla Azy, to okręt, to armatę, to siemienia dla Pikusia, nie mógł się zdecydować, wreszcie postanowił oddać dukata babci, żeby dokupiła sąsiednią kamieniczkę.

Lord Ralf kazał spakować klejnoty do worów i na drugi dzień zapowiadał odjazd.

— Muszę to oddać ojczyźnie — powiedział.

— Przecież on ma ojczyznę w Anglji, czy tam zawieziemy skarby?—pytał Ferdek przyjaciela.

— Zobaczymy, dokąd nam każe skierować: do Londynu, czy do Warszawy?—odparł Włodek.

38. NACZELNIK PAŃSTWA.

Na ocienionej winem werandzie Belwederu siedział Naczelnik Państwa, rozpatrując mapę i notując coś na ćwiartce papieru. Dwóch adjutantów czekało na rozkazy.

Naczelnik oderwał wzrok od mapy i zamyślony patrzył przed siebie w błękit nieba.

— Zdaje mi się, że szybuje tam samolot?

Adjutant popatrzył i rzekł: — Nie widzę.

Ale orle oczy Naczelnika widziały: Po lazurze nieba szybował Lew-Orzeł, który rósł, potężniał, wreszcie osiadł na polu koło belwederskiej szosy, a u stóp wzgórz mokotowskich.

Naczelnik oglądał zdaleka samolot.

— Oho, ale to jakiś zgoła nieznany typ. Wartoby obejrzeć, bo wydaje mi się doskonały. Bądź pan łaskaw, panie poruczniku, dowiedzieć się bliżej, co to jest takiego.

— Rozkaz.

Naczelnik zatopił się znów w studjowaniu mapy i kreśleniu planów. Wreszcie rzekł krótko:

— Tak będzie — i z werandy poszedł do ogrodu za pałacem.

Wkrótce powrócił adjutant i meldował:

— Lord Ralf Castelbury z dwoma chłopcami przybyli na samolocie Lew-Orzeł. Proszą o audjencję.

— Wpuścić.

— Rozkaz.

Po chwili u furty ogrodowej zjawiła się załoga Lwa-Orła. Wartownicy, pomimo rozkazu adjutanta, czynili trudności przy wejściu, nie chcąc przepuścić Ferdkowej menażerji, ale Pikuś pofrunął bez ceremonji, Trefl przelazł pod płotem, a leniwa Aza, westchnąwszy głęboko, przeskoczyła płot.

Widział to wszystko Naczelnik i uśmiechał się dobrotliwie.

Lord Ralf podszedł, skłonił się dwornie i rzekł:

— Połowa mojej krwi jest polska, ale dusza cała żyje dla Polski. Racz przyjąć, Naczelniku, mój wyborowy samolot na model do wyrobu nowych dla potrzeb naszego Państwa.

— Dziękuję!—krótko odparł Naczelnik.

— A oto skarby moich przodków, pozostawione dla ojczyzny.

Chłopcy postawili wory klejnotów u stóp Naczelnika.

— Dziękuję!

Z pod krzaczastych brwi patrzyły dziecięco dobre oczy, co jednak potrafiły i błyskawice cisnąć, gdy była tego potrzeba.

— Cóż w tem?—spytał Naczelnik.

Chłopcy wysypali wory bezcennych klejnotów pod nogi Naczelnika, a lord Ralf rzekł:

— Przodek mój, Zbrojomirski, w namiocie Kara Mustafy zdobył te skarby wschodu i nakazał oddać je na potrzeby ojczyzny. Spełniam jego wolę, oddaję to na wojsko polskie. Jeden dukat tylko wzięty dla znalazcy, bo taki był nakaz starosty wolbromskiego.

— Tego dukata ja mam dla babci Walentowej — objaśnił Ferdek.

Naczelnik podał rękę lordowi i chłopcom i krótko rzekł:

— Zuchy!

A oczy Jego patrzyły tak po ojcowsku, tak serdecznie, że nie tylko ludzi, ale i stworzenia inne ujmowały: Trefl

skakał Mu wesoło do rąk, Pikuś nad głową wrzeszczał jak opętany:

— Niech żżyje Na-czel-czel-czel-niiik!

Nawet leniwa Aza przyjaźnie obcierała się o buty Wodza.

Adjutanci zbierali rozsypane klejnoty. Naczelnik zrobił ruch pożegnania, więc lord z chłopcami skłonili się i skierowali ku wyjściu. Audjencja była skończona.

Ale już od furtki Ferdek zawrócił się pędem ku Naczelnikowi i, szastając zamaszyście nogą, wpakował Mu coś w rękę, mówiąc:

— Weź Naczelnik to na wojaków... i uciekł, obcierając oczy z radości.

W ręku Naczelnego Wodza połyskiwał złoty dukat z Matką Boską.

Ferdek zawstydzony zmykał tak, że nie usłyszał żołnierskiego, rzuconego za nim, wesołego i radosnego:

— Dziękuję!

39. ZAKOŃCZENIE.

Adjutanci Naczelnego Wodza skierowali lorda Ralfa do oddziałów awiatycznych, gdzie lord wyjaśnił lotnikom wszystkie tajemnice i sekrety obmyślonej przez siebie maszyny.

Stary generał, zasłużony wojak, szef wojsk lotniczych, był oczarowany śmiałemi pomysłami Anglika.

— Wiesz, milordzie, że twoje odkrycia mogą spowodować przewrót w sposobie prowadzenia wojen.

— Najszczęśliwiej byłoby, żeby raz już wszelkich wojen zaprzestać, ale skoro to niemożebne, niechaj Lew-Orzeł służy tej idei, dla której żył i cierpiał mój dziad.

— Pomysły twoje, milordzie, są tak śmiałe, tyle mają w sobie żywego rozpędu i rozmachu, że rzadko spotyka się takie w rasie anglo-saskiej.

— Ja też sądzę, że pomysły przychodzą mi do głowy dzięki tej krwi polskiej, jaką odziedziczyłem po ukochanej matce, angielski zimny rozum pozwolił mi tylko dobrze obliczyć i wykonać maszynerję.

— Lew-Orzeł będzie chlubą naszej awiatyki. Szkoda, że ten „Lew" to dla nas rzecz obca.

— Panie generale, skoro oddaję moje tajemnice i wynalazki Polsce, to daję też prawo rozporządzania i nazwą.

— Może więc z całym szacunkiem pozostawimy lwa dla Wielkiej Brytanji, a maszynę nazwiemy „Biały Orzeł".

— Ależ zgoda, zgoda, duch mojej matki raduje się z tego.

Generał serdecznie uścisnął dłoń lorda Ralfa, a ten zapisał w notatniku: „Kochana Mamo, Biały Orzeł, moja myśl, a Twoje ukochanie, oddany jest Twojej drogiej ojczyźnie".

Wszyscy ucieszyli się bardzo z takiego obrotu rzeczy. Kiedy wyszli od generała, Ferdek kombinował coś w łepetynie, aż, mnąc czapkę, spytał lorda:

— No, więc niby co?

— Jakto co?

— No, niby jak?

— Co jak?

— Z tą Polską?

No, cóż? Polska będzie wspaniałem, potężnem państwem...

Eh, to się wie, nie trza gadać, my w tem; ale przecież jeszcześmy nad całą Polską nie latali, a tylko nad małym kawałkiem.

— Więc jakież są twoje plany?

— No, plany to powinien pan lord sfabrykować, ja tylko sobie tak myślę, że jeżeli byliśmy na Pomorzu, albo w Gdańsku, a nie byli we Lwowie, to... to... to...

— To co?

— To ten Lwów albo się pogniewa, albo się zmartwi, więc żeby nie było krzywdy dla nikogo, to trzaby uhonorować i insze miasta w Polsce i złożyć im wizytę.

— Ha, kto wie? Może ty masz słuszność? Włodku, a ty co na to?

— On? Hi! Jemu się tylko oczy śmieją do dalszej podróży, ja go znam, tego Włodka. A mówię panu lordowi, Trefl to aż piszczy, żeby się jeszcze przejechać.

— No, skoro Trefl aż piszczy, to rzeczywiście dalsza podróż należy się nam jeszcze, ale przedewszystkiem należy się nam odpoczynek i praca każdemu na swojem polu Więc ja wykupię Smoleń i zaprowadzę tam najnowszą, naj-

doskonalszą gospodarkę. Włodek musi zdać maturę i zapisać się na uniwersytet. Czy tak?

— Marzę o tem, milordzie.

— Ty, Ferdku, masz takie zdolności do mechaniki, że wykształcimy cię na dzielnego elektrotechnika...

— A Trefl z Azą?

— Ci pójdą do babci na stróżowanie domku na Woli. Pikusiowi trzeba zwrócić wolność...

— Czy ja go trzymam? On sam leci do mnie i wrzeszczy.

Jakoż Pikuś z okropnym piskiem krążył dookoła głowy ferdkowej, a potem usiadł na drzewie i rozpoczął śpiew radosny.

I stało się tak, jak lord Ralf zarządził: on sam rozpoczął gospodarkę w Smoleniu, Włodek zasiadł do maturalnych prac, Ferdek zamieszkał u babci na Woli, chodził rano na praktykę w elektrowni, a wieczorami na kursy, gdzie wyróżniał się wśród kolegów zdolnościami.

Koledzy przepadają za nim, bo podczas wolnych chwil w szkole opowiada im tak bajecznie o niesłychanych swoich przygodach pomiędzy niebem i ziemią, że bledną przy tej opowieści wszystkie przygody: „Dzieci kapitana Granta", lub „Dwadzieścia tysięcy mil żeglugi podmorskiej".

Aza bardzo jest obecnie zapracowana: ciągle leży na słońcu, wygrzewa się i mruczy. Na inne żywe stworzenia patrzy z dumą i pogardą, jak przystoi na osobę z wielkiego rodu de Koci Ogon.

Natomiast Trefl nie ma ani chwili odpoczynku: biega dookoła domku babci na Woli, szczeka zajadle i pilnuje dobytku.

Pikuś... ach Pikuś... przepadł bez wieści... czy go woda zatopiła, czy kot zjadł, nic nie wiadomo.

Na święta przyjeżdża lord do Warszawy. Bawią się wtedy wszyscy razem. Babcia gotuje kawę z kożuszkiem i mówi do lorda:

— Proszę jeść, tam w tej jakiejś Anglji nie znają z pewnością takiej śmietanki z takim kożuszkiem, jak w Polsce.

Lord Ralf zajadał z apetytem, a wesoło odparł:

— Są też i w Anglji różne ciekawe rzeczy, ażeby się babcia o tem przekonała, zabierzemy ją do samolotu i zawieziemy na wyspę...

— Chryste Panie! co znowu! Mnie do samolotu?

— Tak, tak — potwierdzali, śmiejąc się, obaj chłopcy, a Trefl skoczył babci na kolana i polizał ją po nosie z wielkiej uciechy.

— Niechno tylko ukończą się te nasze zamierzone prace, a pofruniemy sobie w błękity na dalszą wędrówkę po Polsce. Zgoda, chłopcy?

Tu się zrobił w domku babci taki wrzask, aż majster Klepka, bednarz z sąsiedniego domku, przybiegł dowiedzieć się, czy to czasem nie pożar.

— Nie, tylko ja się wybieram w podróż samolotem — objaśniła babcia.

— Rany Boskie!—jęknął majster Klepka, a usta otworzył jak beczkę, których tyle wyrabiał.

KONIEC.

Warszawa, październik 1920 r.